



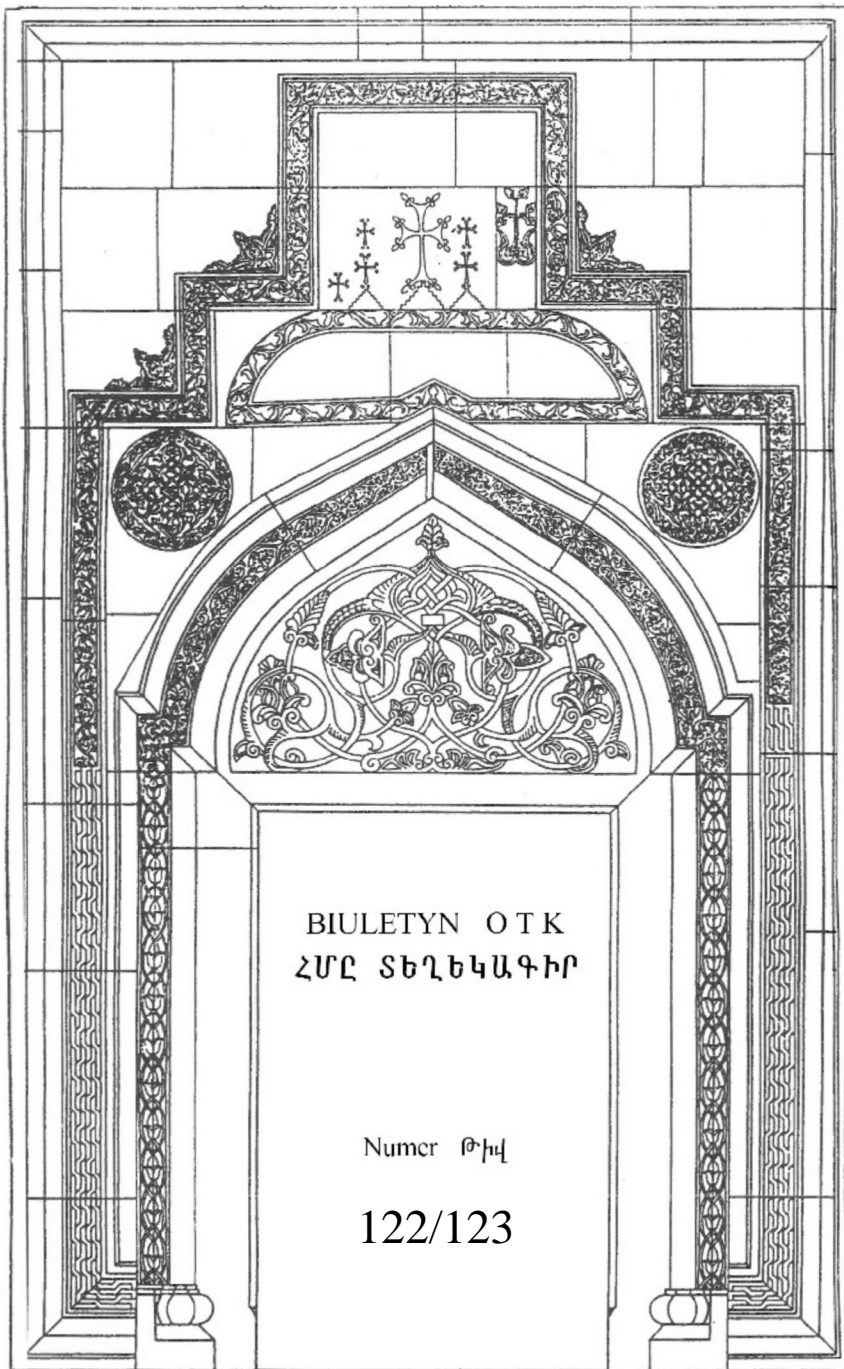
BIULETYN
ORMIAŃSKIEGO
TOWARZYSTWA
KULTURALNEGO

ՀԱՅ ՄՇԱԿՈՒԹԱՅԻՆ
ԸՆԿԵՐՈՒԹՅԱՆ
ՏԵԶԵԿԱԳԻՐ

ISSN 1233-8605

NUMER 122/123 ԹԻՎ

KRAKÓW 2025 ԿՐԱԿՈՎ



BIULETYN OTK
ՀՄԸ ՏԵՂԵԿԱԳԻՐ

Numer Թիվ

122/123

BIULETYN ORMIAŃSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURALNEGO

ՀԱՅ ՄՇԱԿՈՒԹԱՅԻՆ ԸՆԿԵՐՈՒԹՅԱՆ ՏԵՂԵԿԱԳԻՐ

W Biuletynie są publikowane relacje, wspomnienia, opinie, opracowania naukowe i inne utwory dowolnej formy, których tematyka jest związana z historią, kulturą i współczesnymi problemami Ormian i Armenii.

Copyright by Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne – Kraków 2025

Materiałów zamieszczonych w Biuletynie OTK nie można w żadnej formie reprodukcować bez pisemnej zgody Wydawcy.

Kolegium Redakcyjne	dr Tomasz Krzy owski (przewodnicz cy) prof. dr hab. Krzysztof Stopka prof. dr hab. Andrzej Pisowicz dr hab. Antoni Amirowicz dr hab. Andrzej A. Zi ba dr Andrzej Gli ski Kamil Gle
Adres	Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne ul. Studencka 2, lokal 3a 31–116 Kraków www.otk.org.pl otk@otk.org.pl
Konto bankowe	Bank Pekao 19 1240 4533 1111 0011 4825 0979
Projekt okładki	Monika Zoloteńka
Szata graficzna	Monika Zoloteńka
Skład	Jacek Kumański
Korekta	Edyta Gli ska
Druk	Poligrafia Inspektoratu Towarzystwa Salezjańskiego ul. Bałuckiego 8, 30-318 Kraków
ISSN 1233-8605	nakład: 300 egz.

Zrealizowano dzięki dotacji Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji

Publikacja wyraża jedynie poglądy autorów i nie może być utożsamiana z oficjalnym stanowiskiem Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji.

Wstęp

Bieżący numer naszego czasopisma poświęcony jest przede wszystkim refleksji nad dorobkiem, pamięcią i tożsamością środowiska ormiańskiego w Polsce. Punktem wyjścia jest jubileusz 35-lecia Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego, uroczyste obchodzony w czerwcu 2025 roku. Artykuł niżej podpisanego przybliży przebieg tych uroczystości, które stały się nie tylko okazją do świętowania, ale i do podsumowania działalności Towarzystwa – instytucji kluczowej dla zachowania ormiańskiego dziedzictwa w Polsce. Temat ciągłości i aktywności wspólnoty ormiańskiej rozwija wywiad z Adamem Terleckim, który relacjonuje okoliczności powstania Towarzystwa, przybliży kulisy aktywności oraz podsumowuje aktualną kondycję środowiska ormiańskiego w Polsce. Od początku powstania Towarzystwa w jego działalność zaangażował się prof. Andrzej Pisowicz, który na różne sposoby wspierał inicjatywy zarządu. Jego sylwetkę jako uczonego i popularyzatora wiedzy o historii i kulturze Armenii omawia Kamil Gleń.

Kolejne teksty nawiązują do pamięci historycznej, która stanowi jeden z fundamentów ormiańskiej tożsamości. Sandra Bartkowiak i Mateusz Skrzypczak relacjonują obchody Dnia Pamięci o Ludobójstwie Ormian w Erywaniu w 2025 roku, zaś Antoni Amirowicz opisuje analogiczne uroczystości w Krakowie. Oba teksty przypominają, jak ważne miejsce zajmują w świadomości współczesnych Ormian wydarzenia z okresu I wojny światowej, kiedy Turcy i Kurdowie wymordowali 1,5 miliona bezbronnej ludności ormiańskiej.

Wspomnienia ks. Kazimierza Romaszkana oraz Michała Bohosiewicza przenoszą czytelnika w czasy II wojny światowej, ukazując indywidualne losy Ormian w Polsce na tle dramatycznych wydarzeń lat 1939-1945. Publikowane relacje źródłowe są ciekawym świadectwem zaangażowania Ormian w działania na froncie wojennym oraz w pracę konspiracyjną w okresie okupacji niemieckiej i sowieckiej.

Tomasz Krzyżowski

Uroczystości 35-lecia Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego w Krakowie

Tomasz Krzyżowski
Kraków

Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne, założone w 1990 roku, jest najstarszą działającą w Polsce organizacją skupiającą społeczność ormiańską. Jego podstawowym celem od początku działalności pozostaje pielęgnowanie tożsamości narodowej Ormian w Polsce oraz ochrona i popularyzacja ich bogatego dziedzictwa kulturowego. Towarzystwo prowadzi różnorodne działania edukacyjne, wydawnicze i kulturalne, starając się nie tylko przybliżyć historię i tradycje ormiańskie członkom własnej wspólnoty, ale także ukazywać je w szerszym kontekście polskiego życia społecznego i naukowego.

W ciągu trzydziestu pięciu lat aktywności Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne wydało kilkanaście publikacji naukowych i popularnonaukowych, w tym przekładów literatury pięknej z języka ormiańskiego na polski. Od 1993 roku ukazuje się „Biuletyn Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego”, który stanowi nie tylko cenne źródło wiedzy, ale pełni również rolę kroniki życia społeczności ormiańskiej w Polsce. Dorobek Towarzystwa obejmuje także liczne sesje naukowe, ogólnopolskie zjazdy środowiskowe, prelekcje i spotkania popularyzujące kulturę ormiańską, imprezy artystyczne i akcje charytatywne. Do wydarzeń o szczególnym znaczeniu należy zaliczyć obchody setnej rocznicy ludobójstwa Ormian w 2015 roku oraz uroczystości upamiętniające sześćset pięćdziesiątą rocznicę nadania przywileju królewskiego Ormianom lwowskim przez Kazimierza Wielkiego w roku 2017.

Warto zaznaczyć, że Towarzystwo kontynuuje tradycję inicjatyw zapoczątkowanych jeszcze w latach osiemdziesiątych XX wieku, kiedy to Koło Zainteresowań Kulturą Ormian zorganizowało w Krakowie pierwszy powojenny zjazd Ormian polskich. Z tego właśnie środowiska wywodzą się założyciele

Towarzystwa, które w pełni przejęło i rozwinęło wcześniejsze idee i wartości.

Obchody trzydziestopięciolecia Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego odbyły się w dniach 3 i 4 czerwca 2025 roku w Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Maius. Uroczystość miała wyjątkowo podniosły charakter i obejmowała trzy zasadnicze części: uroczyste wręczenie tytułu honorowego członka Towarzystwa zasłużonym działaczom, konferencję naukową zatytułowaną „Ormianie polscy w XX i XXI wieku: historia, kultura, tożsamość” oraz spotkanie integracyjne w formie kolacji jubileuszowej z udziałem członków Towarzystwa, prelegentów i zaproszonych gości. Szczególnej rangi wydarzeniu nadał fakt, że inauguracja i pierwszy dzień obrad odbyły się w zabytkowej Librarii Collegium Maius, sali sięgającej swą historią XVI wieku.



Od lewej: Tomasz Ocetkiewicz, prof. Janusz Mierzwa, prof. Sławomir Sprawski, prof. Krzysztof Stopka, Diana Hovakimian



Przemówienie Hraczji Bojadżjana – konsula honorowego Republiki Armenii

Gości powitał prof. Sławomir Sprawski, prodziekan Wydziału Historycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, który przypomniał o wielowiekowej obecności Ormian w Krakowie. Wspomnił m.in. postaci Łazarza Derjakubowicza i jego syna Jakuba Konstantego, pełniących funkcję burmistrzów miasta w XVIII stuleciu, a także wybitnego malarza Teodora Axentowicza, związanego z Krakowem. Profesor podkreślił również rolę krakowskiego ośrodka badań armenistycznych, wskazując na jego dynamiczny rozwój, prowadzone projekty naukowe oraz publikacje, które przyczyniają się do coraz pełniejszego poznania ormiańskiego dziedzictwa w Polsce.

Następnie głos zabrał Hraczja Bojadżjan, konsul honorowy Republiki Armenii w Polsce oraz przedstawiciel mniejszości ormiańskiej w Komisji Wspólnej Rządu i Mniejszości Narodowych i Etnicznych. Reprezentował on również ambasadora pełnomocnego Republiki Armenii w Polsce Aleksandra Arzoumaniana. Pan konsul odczytał list gratulacyjny skierowany do Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego z okazji jubileuszu. Oto jego treść:

Zabrze, dnia 3 czerwca 2025 r.

Szanowni Państwo,

jest dla mnie zaszczytem zabrać głos podczas obchodów 35-lecia Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego w Krakowie, organizacji wyjątkowej, głęboko zakorzenionej w polskim życiu kulturalnym i społecznym, a jednocześnie dynamicznie rozwijającej się.

Na początku pragnę serdecznie podziękować gospodarzowi dzisiejszego wydarzenia, Panu Profesorowi Krzysztofowi Stopce, Dyrektorowi Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Maius, za życzliwość i udostępnienie nam tej wyjątkowej przestrzeni. Collegium Maius, najstarszy budynek Uniwersytetu Jagiellońskiego, to miejsce, które od wieków służy nauce, kulturze i refleksji. Dlatego właśnie cieszę się, że jubileusz Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego możemy obchodzić właśnie tutaj.

Z okazji jubileuszu składam serdeczne gratulacje wszystkim członkom Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego, a szczególne wyrazy uznania kieruję do obecnej prezes Pani Małgorzaty Malkiewicz. Jej nieustanne zaangażowanie, profesjonalizm i wizja sprawiają, że Towarzystwo nie tylko kontynuuje swoją misję, lecz także rozwija się, otwierając się na kolejne pokolenia i podejmując nowe inicjatywy. To dzięki Pani pracy OTK skutecznie łączy dziedzictwo przeszłości z wyzwaniami współczesności.

Z najwyższym szacunkiem pragnę również wspomnieć Pana Adama Terleckiego, wieloletniego prezesa Towarzystwa, który przez 23 lata z oddaniem i konsekwencją budował jego fundamenty. Panie Adamie, dziękujemy za ogromny wkład, bez którego dzisiejszy jubileusz nie byłby możliwy.

Słowa uznania kieruję także do doktora Tomasza Krzyżowskiego, który zainicjował i zorganizował towarzyszącą obchodom konferencję naukową. Jej temat, „Ormianie polscy w XX i XXI wieku: historia, kultura, tożsamość”, doskonale oddaje ducha naszej mniejszości, wiernej swoim korzeniom, a zarazem aktywnej w życiu naukowym i kulturalnym współczesnej Polski.

Nie sposób nie wspomnieć o „Biuletynie Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego”, czasopiśmie wydawanym od wielu lat, które stanowi bezcenne źródło wiedzy i dokumentację życia mniejszości ormiańskiej w Polsce. Biuletyn nie tylko zachowuje pamięć o przeszłości, lecz także inspiruje teraźniejszość.

To właśnie dzięki takim instytucjom jak Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne możliwe jest zachowanie i pielęgnowanie wielokulturowego dziedzictwa naszej mniejszości, wspólnego, bogatego i zasługującego na trwałą opiekę oraz szacunek.

Jako Konsul Honorowy Republiki Armenii w Polsce oraz członek Komisji Wspólnej Rządu i Mniejszości Narodowych i Etnicznych, reprezentujący mniejszość ormiańską, z wielką dumą i radością uczestniczę w dzisiejszej uroczystości. Cieszę się, że mogę wspólnie z Państwem świętować ten piękny jubileusz, świadectwo trwałości i odpowiedzialnego działania na rzecz wspólnego dobra.

Z wyrazami szacunku,
Hraczja Bojadżjan
Konsul Honorowy Republiki Armenii
Przedstawiciel mniejszości ormiańskiej w KWRiMNiE

Pan konsul Bojadżjan przekazał też na ręce władz Towarzystwa list od wiceministra spraw wewnętrznych Tomasza Szymańskiego. Brzmi on następująco:

Warszawa, dnia 29 maja 2025 r.

Uczestnicy Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej „Ormianie polscy w XX i XXI wieku – historia, kultura, tożsamość”

Szanowni Państwo,
serdecznie dziękuję za zaproszenie na Ogólnopolską Konferencję Naukową pt. „Ormianie polscy w XX i XXI wieku: historia, kultura, tożsamość” zorganizowaną z okazji 35. rocznicy powstania Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego. Niestety, ze względu na

wcześniej przyjęte zobowiązania służbowe nie jestem w stanie osobiście wziąć w niej udziału. Pragnę wyrazić uznanie wszystkim uczestnikom i prelegentom za ich wkład w rozwijanie wiedzy o mniejszości ormiańskiej oraz za zaangażowanie w budowanie przestrzeni dialogu i refleksji historycznej.

Konferencja „Ormianie polscy w XX i XXI wieku: historia, kultura, tożsamość” stanowi wyjątkową okazję do pogłębienia wiedzy o jednej z najstarszych i najbardziej zasłużonych mniejszości narodowych w Polsce. Historia Ormian na ziemiach polskich sięga XIV stulecia i stanowi nieodłączną część naszego dziedzictwa kulturowego. Przez wieki współtworzyli oni bogactwo naszej kultury, wnosząc nieoceniony wkład w rozwój handlu, rzemiosła, sztuki i nauki.

Szczególnie istotna jest rola, jaką Ormianie odegrali w burzliwym XX wieku, kiedy to wraz z całym narodem dzielili trudne doświadczenia okupacji, walki o niepodległość i odbudowy państwa. Lojalność Ormian wobec Polski, ich patriotyzm i determinacja w zachowaniu własnej tożsamości kulturowej stanowią wzór godny naśladowania. Warto podkreślić, że w okresie PRL-u, mimo trudności związanych z ograniczeniami wolności religijnej i kulturowej, społeczność ormiańska nie tylko przetrwała, ale także zachowała swoje tradycje, język i wiarę.

Współczesne wyzwania XXI wieku stawiają przed Ormianami polskimi nowe zadania związane z zachowaniem tożsamości kulturowej w dobie globalizacji. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji dostrzega potrzebę wspierania inicjatyw mających na celu kultywowanie tradycji ormiańskich, dokumentowanie historii tej społeczności oraz promowanie jej dorobku kulturowego. Jesteśmy głęboko przekonani, że różnorodność kulturowa stanowi jeden z największych skarbów Polski, a mniejszości narodowe i etniczne są jej nieodzownym elementem.

Składam też najserdeczniejsze życzenia z okazji 35-lecia działalności Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego w Krakowie. Od momentu powstania w 1990 roku Towarzystwo odegrało niezwykle istotną rolę w zachowaniu i promowaniu dziedzictwa narodowego Ormian w Polsce. Dzięki zaangażowaniu, pracy społecznej i pasji

jego członków, tradycja ormiańska jest nie tylko pielęgnowana, lecz także przekazywana kolejnym pokoleniom w duchu szacunku dla dziedzictwa i tożsamości narodowej.

Życzę Państwu owocnych obrad, inspirujących dyskusji oraz wielu kolejnych lat działalności na rzecz dobra wspólnego i dziedzictwa mniejszości ormiańskiej.

Z wyrazami szacunku,
Tomasz Szymański

Następnie głos zabrał Tomasz Ocetkiewicz, Pełnomocnik Wojewody Małopolskiego ds. Mniejszości Narodowych i Etnicznych, który w swoim wystąpieniu podkreślił znaczącą rolę mniejszości ormiańskiej w historii Polski oraz wartość jej bogatego dziedzictwa kulturowego. Po nim wystąpił Tomasz Krzyżowski, organizator obchodów, który przedstawił zarys działalności Towarzystwa i omówił wyzwania, przed jakimi stoi organizacja. Mówił: „Chodzi o pielęgnowanie dotychczasowych tradycji, zachowanie tożsamości, promocję kultury ormiańskiej i integrację środowiska ormiańskiego w naszym regionie i nie tylko. Takie zadania pełni nasze Towarzystwo. Zmieniają się czasy, sposoby aktywności choćby ze względu na postępującą technikę, ale wartości pozostają te same. To zadania, które stoją przede wszystkim przed przedstawicielami młodego pokolenia Ormian”.

Uroczystym punktem programu było wręczenie tytułu honorowego członka OTK. Zgodnie z postanowieniami statutu oraz uchwałą zarządu Towarzystwa z 9 maja 2025 roku wyróżnienie to otrzymali: Adam Terlecki, Krzysztof Stefanowicz, Ewa Krzysztofowicz-Romek oraz prof. Antoni Amirowicz. Uhonorowano ich za wieloletnią, oddaną pracę na rzecz Towarzystwa oraz wyjątkowe zasługi w pielęgnowaniu i promocji dziedzictwa kultury ormiańskiej w Polsce. W imieniu uhonorowanych głos zabrał Adam Terlecki – założyciel i wieloletni prezes Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego, który podzielił się refleksją na temat okoliczności powstania organizacji i głównych jej osiągnięć.



**Tomasz Ocetkiewicz – pełnomocnik Wojewody Małopolskiego
ds. Mniejszości Narodowych i Etnicznych**



Przemówienie dra Tomasza Krzyżowskiego

DYPLOM
HONOROWEGO CZŁONKA
ORMIAŃSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURALNEGO
W KRAKOWIE

NA MOCY § 10 STATUTU TOWARZYSTWA
ORAZ ZGODNIE Z UCHWAŁĄ ZARZĄDU
Z DNIA 9 MAJA 2025 ROKU,

MAMY ZASZCZYT NADAĆ

Panu Adamowi Terleckiemu

TYTUŁ

Honorowego Członka Towarzystwa

W UZNANIU ZA WIELOLETNIĄ, ODDANĄ DZIAŁALNOŚĆ
NA RZECZ
ORMIAŃSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURALNEGO,
PEŁNIENIE FUNKCJI PREZESA ORAZ WYJĄTKOWE ZASŁUGI
W PIELEGNOWANIU I PROMOWANIU DZIEDZICTWA KULTURY
ORMIAŃSKIEJ W POLSCE.

Z wyrazami głębokiego szacunku i wdzięczności,
w imieniu Zarządu Towarzystwa

Prezes Małgorzata Malkiewicz



Kraków, dnia 3 czerwca 2025 roku

Dyplom honorowego członka Towarzystwa Adama Terleckiego



Przemówienie Adama Terleckiego



Wręczenie dyplomu honorowego członka Towarzystwa Krzysztofowi Stefanowiczowi

Pierwszą część uroczystości zakończyło odczytanie przez prof. Grzegorza Pełczyńskiego adresu okolicznościowego skierowanego do prof. Zbigniewa Kościowa. Dokument ten, przygotowany i podpisany przez uczestników konferencji oraz członków Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego, świadczy o uznaniu wybitnych zasług uczonego w dziedzinie armenistyki. „Prowadząc badania naukowe, nieustannie nawiązujemy i zapewne długo będziemy nawiązywać do Pańskich ustaleń oraz inspiracji. Z królewskiego miasta Krakowa przesyłamy Panu życzenia wszelkiej pomyślności, a przede wszystkim dobrego zdrowia” – brzmi fragment listu. Adres został odczytany publicznie, a następnie przekazany prof. Zbigniewowi Kościowowi jako dowód wdzięczności i głębokiego szacunku całego środowiska.

Kolejnym etapem obchodów jubileuszu była ogólnopolska konferencja naukowa poświęcona Ormianom polskim w XX i XXI wieku. Wzięło w niej udział osiemnastu prelegentów reprezentujących różne ośrodki naukowe z całego kraju. Wystąpienie prof. Krzysztofa Stopki nakreśliło panoramę badań nad Ormianami w Polsce, wskazując na ich dotychczasowy rozwój, najważniejsze kierunki oraz metodologiczne wyzwania stojące przed współczesną armenistyką. Kilka kolejnych referatów koncentrowało się na działalności społeczno-kulturalnej polskich Ormian. Prof. Andrzej Pisowicz przedstawił własne zapiski kronikarskie, które od pół wieku dokumentują także wydarzenia ze środowiska ormiańskiego w Polsce. Dr Tomasz Krzyżowski zaprezentował działalność Koła Zainteresowań Kulturą Ormian w Krakowie – pierwszej powojennej instytucji ormiańskiej, która odegrała fundamentalną rolę w aktywizacji społeczności. Kontynuację tej inicjatywy, czyli powstanie i rozwój Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego, szczegółowo omówił dr Maciej Janik.

Kolejne wystąpienia również omawiały aktywność mniejszości ormiańskiej, tym razem w szerszej perspektywie. Prof. Renata Król-Mazur ukazała konsekwencje wprowadzenia ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz języku regionalnym z 2005 roku. Dr Paweł Nieczuja-Ostrowski przybliżył działalność współczesnych organizacji ormiańskich w Polsce, a prof. Andrzej A. Zięba podjął

temat odrodzeń ormiańskich w XX i XXI wieku, analizując momenty szczególnego ożywienia tożsamości i świadomości wspólnotowej.



Prof. Antoni Amirowicz



Prof. Grzegorz Pełczyński odczytuje adres dla prof. Z. Kościowa

Adres okolicznościowy

SZANOWNY PAN
PROF. ZBIGNIEW KOŚCIÓW

Uczestnicy konferencji naukowej pt. *Ormianie Polscy w XX i XXI wieku: historia, kultura, tożsamość* oraz członkowie Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego w Krakowie pragną wyrazić szczerze uznanie dla Pana wielkich i trwałych zasług w dziedzinie armenistyki. Prowadząc badania naukowe, nieustannie nawiązujemy i zapewne długo będziemy nawiązywać do Pańskich ustaleń oraz inspiracji. Z królewskiego miasta Krakowa przesyłamy Panu życzenia wszelkiej pomyślności, a przede wszystkim dobrego zdrowia.

Z wyrazami głębokiego szacunku i wdzięczności

Mariam Kerapetyan
Margonata Mallievin
Guzon Petropi son
Monta Axeltona - Bohosiemu
Mure Srapyan
Lolajuma Stepanow
Pawel Nicajur Ostrowski
Stenka Kost-Med
Ks. Cecylia Annus
Tilav Teledy
Kapsa Steljanow
Anna Wła
Ks. Janusz Kowalski
Marek Cholewa
Andrzej Zieliński
Marian Stawarski
Kraków, dnia 3 czerwca 2025 roku
Marek Cholewa
Andrzej Zieliński
Marian Stawarski
VERE!

Adres okolicznościowy dla prof. Zbigniewa Kościowa

W programie znalazły się także wystąpienia dotyczące kwestii społecznych i religijnych. Dr Grair Magakian przeanalizował problem asymilacji Ormian, dr Marek Miławicki OP omówił dzieje duszpasterstwa obrządku ormiańskiego po II wojnie światowej, a dr Łukasz Trzeciak przedstawił zagadnienie współczesnych nazwisk polskich pochodzenia ormiańskiego.

Silnie wybrzmiały także wystąpienia dotyczące kultury i sztuki. Prof. Bożena Muszkalska podsumowała dorobek Zbigniewa Kościowa w zakresie badań nad kulturą muzyczną Ormian w Polsce, dr Stefania Krzysztofowicz-Kozakowska omówiła zbiory malarstwa Henryka Krzysztofowicza, a Adrianna Napiórkowska-Bek kolekcję pamiątek po Teodorze Axentowiczu przechowywaną w Muzeum – Dwory Karwacjanów i Gładyszów w Gorlicach. Dr Adrian Cieślik zwrócił uwagę na wartość naukową archiwum ks. Adama Bogdanowicza (1898-1941), które stanowi cenne źródło do badań nad życiem religijnym i społecznym Ormian.

Nie zabrakło również refleksji literaturoznawczej i translatorskiej. Prof. Grzegorz Pełczyński przedstawił obraz Ormian w polskiej beletrystyce, dr Jerzy Szokalski omówił przekłady literatury ormiańskiej na język polski, natomiast dr Nune Srabyan przybliżyła proces tłumaczenia literatury polskiej na język ormiański.

Konferencja ukazała złożoność badań nad społecznością ormiańską w Polsce. Zaprezentowane referaty objęły problematykę z zakresu historii, kultury, literatury, muzykologii, językoznawstwa, religioznawstwa, historii sztuki i archiwistyki, tworząc spójną i interdyscyplinarną panoramę. Obrady potwierdziły, że polska armenistyka znajduje się w fazie dynamicznego rozwoju, wyznaczając nowe kierunki refleksji nad tożsamością, dziedzictwem i współczesnym miejscem Ormian w Polsce.

W konferencji wzięło udział wielu znamienitych gości, wśród których znaleźli się m.in. Hraczja Bojadżjan – konsul honorowy Republiki Armenii w Polsce oraz przedstawiciel mniejszości ormiańskiej w Komisji Wspólnej Rządu i Mniejszości Narodowych i Etnicznych, prof. Sławomir Sprawski – prodziekan Wydziału Historycznego UJ, prof. Janusz Mierzwa – dyrektor Instytutu Historii UJ, prof. Krzysztof Stopka – dyrektor Muzeum Collegium Maius,



**Od lewej: prof. Renata Król-Mazur, ks. dr Marek Stasiowski,
ks. prałat Cezary Annusewicz**



Referat dr Nune Srabyan

Diana Hovakimyan – Komisarz ds. Diaspory Republiki Armenii w Polsce, Tomasz Ocetkiewicz, Pełnomocnik Wojewody Małopolskiego ds. Mniejszości Narodowych i Etnicznych, ks. prałat Cezary Annusewicz – proboszcz ormiańskokatolickiej parafii północnej z siedzibą w Gdańsku, ks. dr Marek Stasiowski – historyk z Wiednia specjalizujący się w tematyce ormiańskiej, Adam Terlecki – założyciel i wieloletni prezes Towarzystwa, Krzysztof Stefanowicz, dr hab. Antoni Amirowicz, prof. Lidia Matynian z Akademii Muzycznej w Krakowie, prof. Ewa Siemieniec-Golaś z Uniwersytetu Jagiellońskiego, prof. Edward Mikuli z Uniwersytetu Jagiellońskiego, Adam Lejczak – prezes wydawnictwa Księgarnia Akademicka, Wojciech Górecki z Ośrodka Studiów Wschodnich, Monika Agopsowicz z Fundacji Kultury i Dziedzictwa Ormian Polskich, przedstawicielki Organizacji Młodzieży Ormiańskiej – Nune Gevorgian i Susanna Garibian oraz Maria Staszalek, Wiesław Kajetan Manugiewicz, Tadeusz Stefanowicz, Marek Cholewka, Władysław Deńca, Maciej Wojciechowski i inni.

Jubileuszowe spotkanie w Krakowie stało się nie tylko forum naukowym, lecz także znakomitą okazją do integracji środowiska ormiańskiego. Pierwszego dnia obchodów, w zabytkowych podziemiach Collegium Maius, w restauracji „U Pęcherza”, odbyła się uroczysta kolacja, która sprzyjała rozmowom i wymianie doświadczeń w mniej formalnej atmosferze. Drugiego dnia, w siedzibie Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego, uczestnicy spotkali się ponownie na wieczorne towarzyskim, który trwał do późnych godzin nocnych. Obchody miały zatem podwójny charakter – były ważnym wydarzeniem dla badaczy zajmujących się armenistyką, a zarazem świętem całego środowiska ormiańskiego. Ukazały, że dziedzictwo Ormian polskich pozostaje żywe, inspirujące i nadal zdolne do otwierania nowych perspektyw badawczych, a także do budowania dialogu międzykulturowego we współczesnej Polsce. Całość wydarzeń została zrealizowana dzięki dotacji Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji.



Uczestnicy jubileuszu na dziedzińcu Collegium Maius

Działalność społeczno-kulturalna środowiska ormiańskiego w Krakowie

Wywiad z Adamem Terleckim¹

Rozmawiał dr Tomasz Krzyżowski

Jak zainteresował się Pan tematyką ormiańską?

Urodziłem się w Krakowie tuż po wojnie i jestem z pochodzenia Ormianinem. Przez wiele lat prowadziłem Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne. Moje życie było dość ciekawe. Chodząc do szkoły podstawowej miałem kapitalnego księdza, który uczył nas religii. Na każdej lekcji religii zadawał pytanie, gdzie byłem na Mszy świętej, bo taki był wtedy zwyczaj. Odpowiadałem, że jestem Ormianinem i chodzę do kościoła św. Idziego, gdzie ks. Franciszek Jakubowicz odprawiał Msze święte w obrządku ormiańskokatolickim. Kiedy mu o tym powiedziałem, to usłyszeli to także moi rówieśnicy z klasy. Od tego czasu zaczęli mnie przezywać Żydek. Początkowo mnie to trochę bulwersowało, ale z czasem się przyzwyczaiłem. I tak do końca szkoły podstawowej nigdy nie zwracali się do mnie po imieniu, tylko Żydek.

Do szesnastego roku życia wychowywała mnie babcia. Przy każdej okazji tłumaczyła mi, że nasze korzenie wywodzą się z dalekiej Armenii, z miasta Ani, skąd w XVIII wieku rozpoczęła się wędrówka w kierunku obecnej Ukrainy. Moi przodkowie w XIX wieku osiedlili się w okolicach Lwowa. To właśnie babcia zabierała mnie do kościoła św. Idziego pod Wawelem. Jako młody chłopak służyłem

1 Adam Terlecki (ur. 1947 w Krakowie), po kądzieli Ormianin (matka Antonina pochodziła z rodziny Bohosiewiczów). W 1973 roku ukończył studia na Wydziale Górniczym AGH – Eksploatacja odkrywkowa węgla brunatnego. W latach osiemdziesiątych aktywny członek Koła Zainteresowań Kulturą Ormian przy Polskim Towarzystwie Ludoznawczym w Krakowie. W 1990 roku założył Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne, którym – jako prezes – kierował do 2014 roku. Jeden z liderów i aktywny działacz społeczności ormiańskiej w Polsce.

do Mszy świętej ks. Jakubowiczowi razem ze starszym ode mnie kolegą Bogdanem Donigiewiczem. Babcia cały czas podkreślała, że trzeba kultywować tradycje ormiańskie. U nas w święta wszystkie potrawy były związane z Kresami, z ormiańskością na Kresach.

Po śmierci babci czułem, że geny ormiańskie są we mnie. Chciałem się wybrać do Armenii, ale wtedy w okresie komunizmu nie było to takie proste. W tym czasie przewodnią siłą była Polska Zjednoczona Partia Robotnicza i żeby wyjechać trzeba było mieć układy i znajomości. Po zdaniu matury dostałem się na studia na AGH i tam próbowałem przez organizacje studenckie, w których działałem, wyjechać na wycieczkę do Związku Radzieckiego, ale tak, żeby zahaczyć o Armenię. Niestety to się nie udało.

W 1980 roku moja mama dowiedziała się, że Ormianie organizują ogólnopolski zjazd w Krakowie. Dowiedziała się o tym drogą okrężną przez Gliwice, od tamtejszych Ormian. Nikt się wcześniej w tej sprawie z nami nie kontaktował, nikt nie wiedział z organizatorów, że moja mama pochodzi z ormiańskiej rodziny Bohosiewiczów. Okazało się, że jednym z organizatorów był dr Janusz Kamocki, który mieszkał niedaleko, gdzie mama wówczas pracowała. Zgłosiliśmy się jako uczestnicy i tak wstąpiłem do „rodziny ormiańskiej”.

Zjazd był ważnym wydarzeniem dla polskich Ormian. Jak go Pan zapamiętał?

Na zjeździe, który odbył się w kapitularku klasztoru dominikanów w Krakowie w listopadzie 1980 roku, były już zaczątki Koła Zainteresowań Kulturą Ormian. Zjazd był dwudniowy i przyjechało na niego – jeśli mnie pamięć nie myli – około 200 Ormian z całej Polski. W pierwszym dniu była sesja naukowa poświęcona Ormianom, gdzie przemawiali: Michał Bohosiewicz, duszpasterz Ormian ks. Kazimierz Filipiak, Leon Ter-Oganian, Tadeusz Isakowicz-Zaleski – wówczas jeszcze kleryk seminarium duchownego. Było to bardzo ciekawe doświadczenie. Ks. Filipiak odprawił przepiękną Mszę ormiańską w kościele dominikanów i wygłosił kazanie. Drugi dzień przeznaczono na spotkania towarzyskie. Starsi mieli okazję zobaczyć się

i porozmawiać po wielu latach; było też sporo osób z młodego pokolenia. Na zjeździe poznałem swoje dalsze kuzynki z Miechowa; także inne osoby poznawały swoich krewnych. Wieczorem odbył się koncert i recytacja wierszy. Koncepcję zjazdu i jego realizację uznać należy za bardzo udane. Na zjeździe rozdawano deklaracje i kto chciał mógł się zapisać do koła ormiańskiego. W deklaracji należało wpisać, że interesuje się historią, kulturą lub literaturą ormiańską, ale nie można było się przyznawać do ormiańskich korzeni. Takie były trudne czasy, choć były to już lata osiemdziesiąte. Zapisaliśmy się razem z mamą i czekaliśmy na kolejne spotkanie. Zdziwiłem się bo nie docierały do nas żadne informacje. Po latach dowiedziałem się, że uznano, że nie jesteśmy Ormianami, bo mamy polskie nazwiska i wzięto nas za szpicli!



**Pierwsze Ogólnopolskie Spotkanie Środowiska Ormiańskiego, 1991,
po lewej ks. Józef Kowalczyk**

Tak się przypadkowo złożyło, że w 1983 roku poszedłem w sprawach służbowych na Wydział Leśnictwa Akademii Rolniczej, do jednego z profesorów, który dla naszej firmy robił opinię prawną. Poszliśmy tam z kolegą i otworzyła nam drzwi pani, która pomagała w organizacji wspomnianego zjazdu – dr Grażyna Gäntner. Skorzystałem z okazji i zapytałem, ją czy koło działa, bo złożyliśmy deklarację, ale nie dostajemy żadnych informacji o spotkaniach, z czego wnioskowaliśmy, że nic się nie dzieje. Poleciała mi udać się do dr Teresy Passakas z Polskiej Akademii Nauk. Ona dopiero wyjaśniła mi jaka jest sytuacja i dlaczego nie otrzymywaliśmy zaproszeń.

Zaangażowanie w sprawy ormiańskie zbiegło się z chrzcina-
mi mojego syna, który urodził się w 1984 roku. Chcieliśmy,
żeby ochrzcił go ks. Kazimierz Filipiak w obrządku ormiańsko-katolic-
kim. I tak zaczęła się moja przygoda z ormiańskością. Teresa
Passakas od razu zaproponowała mi współpracę. No wiesz – mówiła
– może pomożesz mi w sprawach organizacyjnych, albo przejmiesz
funkcję sekretarza? Chętnie się zgodziłem i zacząłem się bawić
w ormiańskość. Dodam, że prezesem koła był mój daleki kuzyn
z Gliwic – Michał Bohosiewicz. Zgodziłem się i wziąłem na siebie
obowiązek rozsyłania zawiadomień o spotkaniach. Tak się to ciągnęło
do lat dziewięćdziesiątych. W międzyczasie – po śmierci Michała
Bohosiewicza – prezesurę objął Michał Teodorowicz, a ja nadal byłem
sekretarzem. Potem funkcję prezesa objął Klemens Krzysztofowicz,
który miał problemy zdrowotne, dlatego działalność koła była
na mojej głowie. Przyznam szczerze, że taka forma aktywności coraz
mniej mi odpowiadała. W związku z tym, że koło wchodziło
w struktury Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego byliśmy
„ubezwłasnowolnieni”. Nie mogliśmy samodzielnie podejmować
decyzji, przykładowo zapraszać gości na odczyty, zapewnić im pobyt
czy załatwić wizy dla osób z zagranicy. We wszystkich ważniejszych
sprawach byliśmy zdani na zarząd Polskiego Towarzystwa
Ludoznawczego we Wrocławiu.

I to – jak sądzę – zmotywowało Pana do założenia nowej organizacji czyli Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego.

W 1989 roku ukazała się ustawa o stowarzyszeniach. Pomyślałem, że warto założyć własną organizację. Osobowość prawna dawała zupełnie inne możliwości, mogliśmy działać swobodnie i gromadzić fundusze. Podzieliłem się tym pomysłem z kilkoma osobami, między innymi z prof. Anną Krzysztofowicz i z Antonim Amirowiczem. Ich reakcja była pozytywna. Zaczęliśmy załatwiać formalności i zwołaliśmy spotkanie założycielskie. W stosunkowo krótkim czasie zgromadziłem wszystkie potrzebne dokumenty, załatwiłem formalności w sądzie i w Urzędzie Statystycznym. W wielu sprawach organizacyjnych pomógł mi kolega Antoni Amirowicz. Współpraca odbywała się wręcz kapitalnie. I tak w 1990 roku powstało Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne. Ustaliliśmy, że w 1991 roku zorganizujemy pierwszy ogólnopolski zjazd rodzin ormiańskich, nawiązując do pierwszego powojennego zjazdu Ormian w 1980 roku. Zjazd w 1991 roku też bardzo się udał. Wygłoszono prelekcję, był wieczór ze świecek, przyjechało bardzo dużo osób z całej Polski. I tak zrodziła się tradycja, żeby co pięć lat, albo częściej organizować kolejne ogólnopolskie spotkania rodzin ormiańskich. W sumie za mojej kadencji takich zjazdów odbyło się sześć.

W jakich okolicznościach powstał „Biuletyn Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego”?

Po rozpoczęciu działalności Towarzystwa stwierdziłem, że koniecznie trzeba wydawać czasopismo, aby coś zostało dla potomnych. Chcieliśmy dokumentować bieżące wydarzenia oraz publikować wspomnienia, aby w ten sposób zapisać historię Ormian polskich, bo z roku na rok ludzie się wykruszali. Tak powstał „Biuletyn Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego”. Pierwszy numer ukazał się w 1993 roku; miał niewiele, bo 16 stron. Wstęp napisała prof. Anna Krzysztofowicz zachęcając do prenumeraty nowego czasopisma. Pierwszym artykułem było wspomnienie o ks. Franciszku Jakubowiczu.

Przy „Biuletynie” pomagał mi Tolek Amirowicz. Jak myśmy to robili? Na początku lat dziewięćdziesiątych pojawiły się pierwsze komputery instalowane w zakładach pracy. Przeważnie dostawałem teksty napisane ręcznie, ewentualnie na maszynie. Przepisywałem to na komputerze w pracy, w edytorze „TAG” – to już jest prehistoria, ale takie były wtedy możliwości. Przepisany tekst oddawałem koledze Amirowiczowi do złamania. Pod tym względem współpraca między mną a Tolkiem była dość trudna, bo Tolek pisał doktorat, potem musiał zrobić habilitację, więc w ramach wolnego czasu próbował to wszystko pogodzić. Po złamaniu tekstu Amirowicz przychodził do mnie do pracy, gdzie była nowa maszyna kserograficzna – jak na tamte czasy – luksusowa. Odbijaliśmy to wspólnie i dopiero wtedy zanosił tekst do Zakładu Poligraficznego „APOSTROF” na ulicę Rajską. Trwało to dość długo, ale goniły nas inne sprawy, a mianowicie na „Biuletyn” dostawaliśmy pierwsze dotacje i trzeba było je rozliczyć. Udało się wszystko pomyślnie sfinalizować i ukazały się dwa pierwsze numery. Później stwierdziliśmy, że łatwiej będzie drukować dwa podwójne numery i tak robiliśmy w kolejnych latach. Redaktorem naczelnym została prof. Anna Krzysztofowicz. Dr inż. arch. Jacek Chrzęszczewski zaprojektował stronę tytułową, Tolek Amirowicz wykorzystał moje zdjęcie, na którym był duży i mały Ararat i zaprojektował nową okładkę, która przetrwała do 79 numeru.

Wydawaliście też inne publikacje popularyzujące wiedzę o Ormianach, ich historii i kulturze.

Dostaliśmy propozycję od Anny Danilewicz, Ormianki, która pochodziła z Baniłowa nad Czeremoszem, żeby wydać jej wspomnienia w „Biuletynie”. Rękopis, który od niej otrzymałem, przepisałem na komputerze i stwierdziłem, że tekst jest zbyt obszerny jak na „Biuletyn” i że lepiej będzie wydać książkę. Była to pierwsza publikacja zatytułowana *Ormianie z prawego brzegu Czeremoszu*, na którą dostaliśmy dotację w wysokości 11 mln zł, to były duże pieniądze. Długo z Tolkiem walczyliśmy i wreszcie po dwóch latach książeczka się ukazała. Publikacja wzbudziła duże zainteresowanie,

dlatego pani Danilewicz stwierdziła, że może napisać kolejną książkę rozszerzając to, co zawarła w pierwszej. Były to wspomnienia: *Z Bukowiny na Dolny Śląsk*. Książeczka zrobiła furorę w środowisku.



Uroczystości poświęcenia tablicy pamiątkowej ks. Franciszka Jakubowicza na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie; od lewej Adam Terlecki, ks. Cezary Annusewicz, prof. Tomasz Janowski, 1996



**Spotkanie z prezydentem Republiki Armenii Robertem Koczarianem
w Krakowie na Wawelu, 1999**



**Podczas konferencji „Armenia – Diaspora” w Erywaniu. Od lewej: Adam Terlecki,
Wartan Oskanian, Bella Barsegian, Stefan Sawicki, 1999**



Delegacja ormiańska z wizytą u kard. Franciszka Macharskiego, 2005



**Zakończenie roku szkolnego Szkołki Ormiańskiej w Krakowie,
Adam Terlecki i ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, 2009**

Jako prezes Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego miał Pan kontakt z Ormianami, którzy przyjechali do Polski z Armenii bądź byłych republik postsowieckich. Jak wyglądała ta współpraca?

Pierwsze kontakty nawiązali z nami Ormianie, którzy przyjechali do Krakowa na studia. Było ich dwunastu lub trzynastu i studiowali na Uniwersytecie Jagiellońskim, Politechnice i AGH. Stwierdzili, że w Krakowie muszą być jacyś Ormianie i nawiązali kontakt z prof. Anną Krzysztofowicz. Dowiedzieli się widocznie, że jest Ormianką, która pracuje na Uniwersytecie Jagiellońskim. Potem doszło do spotkania z zarządem całego Towarzystwa. Patrzyli na nas jednak podejrzliwie, bo nie mówiliśmy po ormiańsku, nie mieliśmy krewnych w Armenii i nie kultywowaliśmy takich zwyczajów jak oni. Co to za Ormianie? Tłumaczyliśmy im, że w Polsce Ormianie żyją od wieków, jaka jest ich historia i tradycje – jak wiadomo, odmienne niż we współczesnej Armenii. Dla mnie ta znajomość była ciekawa, bo chciałem tych ludzi zaangażować w działalność Towarzystwa. Wkrótce okazało się, że na końcowym etapie ich studiów zostali pozbawieni stypendiów, bo nastąpił rozpad Związku Radzieckiego i nikt nie chciał płacić za ich dalszą naukę, dlatego poprosili nas o pomoc. Po naradzie zarządu postanowiliśmy działać. Zaczęliśmy od nagłośnienia sprawy w mediach. Wydrukowaliśmy artykuły w prasie, odbyła się audycja w radiu RMF, gdzie głos zabrali owi studenci i opowiedzieli o swojej trudnej sytuacji. Zwróciliśmy się do polskiego społeczeństwa z prośbą o wsparcie materialne tych młodych ludzi i otworzyliśmy specjalne konto bankowe. Efekt był zadowalający, bo zbieraliśmy 13 lub 14 mln złotych, tak że każda z tych osób dostała po milionie na początek. Dzięki temu mogli pokryć koszty akademików. W międzyczasie Ministerstwo Edukacji i Szkolnictwa Wyższego doszło do porozumienia z krajami byłego ZSRR dzięki czemu ci studenci skończyli studia w Krakowie. Niektórzy wyjechali, większość z nich została jednak w Polsce, niektórzy wybrali ścieżkę kariery akademickiej i mają dziś tytuły profesorskie.

Na początku lat dziewięćdziesiątych, właśnie po rozpadzie Związku Radzieckiego rozpoczęła się duża emigracja z Armenii do Polski. Szacunki z tego okresu mówiły, że w szczytowym punkcie w Polsce przebywało około stu tysięcy Ormian i wszyscy byli nielegalnie. Niektórzy szukali kontaktu z Towarzystwem licząc na pomoc. Na przykład, do Krakowa z Armenii przyjechała rodzina Jesanianów, która przywoziła sporo pieniędzy i otworzyła przy ul. Lubicz restaurację ormiańską. Problem polegał na tym, że oni byli w Polsce nielegalnie. Dzięki pomocy prof. Anny Krzysztofowicz i jej układow z okresu działalności antykomunistycznej udało się tym ludziom załatwić legalny pobyt. Takich przypadków było bardzo wiele, jednak nie wszystkim udało się pomóc. Nie było wtedy stosunków dyplomatycznych między Polską i Armenią, co utrudniało załatwienie wielu spraw. Z niektórymi osobami chodziłem do urzędu wojewódzkiego w sprawie kart pobytu. Były to ciężkie przeboje. Nie było możliwości prawnej, żeby wiele rzeczy załatwić. Większość z nich, aby się utrzymać zajmowała się głównie handlem. Część ludzi była wyłapywana przez służby skarbowe, przez policję, przez Straż Graniczną i deportowana. Wielokrotnie byłem na rozprawach w sądzie, walcząc o to, żeby ci ludzie nie byli deportowani, żeby im pozwolono zostać w Polsce. Niestety nic to nie dawało. Dopiero pierwsza abolicja pozwoliła niektórym Ormianom pozostać w Polsce i otrzymać karty pobytu. Wydawano je jednak na okres dwóch lat. Ten krótki czas szybko mijał i znowu zaczynały się problemy. Robiło się różne kombinacje. Niektórym osobom karty przedłużono i zostali, pozostałym niestety nie. Zostali znowu wyłapani i deportowani. Tak że z tych stu tysięcy po kilku latach mówiło się, że na terenie Polski jest około 40 tysięcy Ormian.

Jak Pan ocenia aktualną sytuację środowiska ormiańskiego w Polsce?

Kondycja środowiska ormiańskiego moim zdaniem jest coraz słabsza. Starsze pokolenia Ormian polskich, wracamy wciąż do tej nazwy, która mi się bardzo nie podoba, wykrusza się. W zasadzie niewiele osób zostało ze starszego pokolenia. Trzeba zwrócić uwagę

na kompletny brak zainteresowania młodych ludzi swoimi korzeniami i jakąkolwiek działalnością, czy przyznawaniem się do tego, że pochodzą z rodzin ormiańskich. Do Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego w latach 1990-2014, kiedy byłem prezesem, wstąpiło kilka młodych, chętnych do działania osób. Większość stanowiły jednak osoby w średnim wieku i starsze. Niestety, nie widzę pozytywnej przyszłości dla środowiska Ormian polskich, które w naturalny sposób odejdzie od ormiańkości. Według mnie środowisko ormiańskie powinno się otworzyć na nową emigrację, która jest w Polsce obecna od lat dziewięćdziesiątych i trwa w większym lub mniejszym stopniu. W tej kwestii zdania są jednak podzielone. Jedni chcą, żeby to tzw. nowi Ormianie otworzyli się na nas, inni mówią, że nie, że to jest całkiem inna kultura, że to są inni ludzie. Dla mnie nie ma podziału na Ormian polskich i na Ormian z nowej emigracji. Dla mnie wszyscy są po prostu Ormianami.

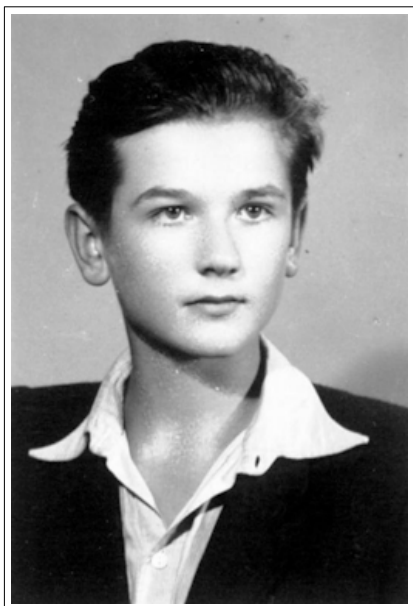


Adam Terlecki, 2024

Profesor Andrzej Pisowicz i jego droga naukowa

Kamil Gleń
Kraków

2 listopada 2025 roku obchodziliśmy 85. rocznicę urodzin Profesora Andrzeja Pisowicza – wybitnego językoznawcy, iranisty i armenisty, którego dorobek naukowy oraz działalność dydaktyczna odegrały znaczącą rolę w popularyzacji wiedzy o Armenii i kulturze ormiańskiej w Polsce. Dla Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego jubileusz ten ma szczególne znaczenie, gdyż Profesor od wielu lat wspiera jego naukową i kulturalną działalność oraz pomaga w redakcji wydawanego przez Towarzystwo „Biuletynu”. Swoją postawą inspiruje kolejne pokolenia badaczy i miłośników kultury ormiańskiej. Jego zaangażowanie stanowi ważną część historii Towarzystwa, a 85. rocznica urodzin jest okazją do wyrażenia wdzięczności i uznania dla jego nieocenionego wkładu w popularyzację kultury ormiańskiej w Polsce.



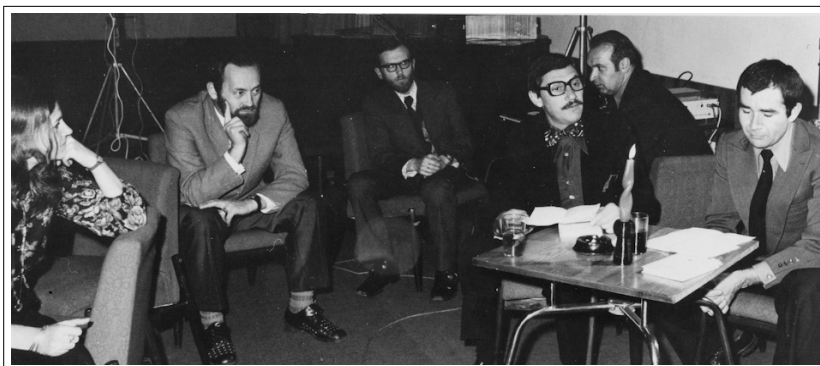
Andrzej Pisowicz w młodości

Profesor Andrzej Pisowicz urodził się 2 listopada 1940 roku w Siedliskach koło Miechowa w rodzinie inteligenckiej. Szkołę podstawową ukończył w Tarnowskich Górach, a liceum ogólnokształcące w Słupsku. Lata 1961-1963 spędził w Erywanii, gdzie studiował filologię ormiańską w trybie indywidualnym. W 1963 roku uzyskał dyplom magistra filologii orientalnej Uniwersytetu Jagiellońskiego i z tą uczelnią związał swoje życie zawodowe. W 1970 roku został etatowym pracownikiem Instytutu Filologii Orientalnej UJ. W 1974 roku obronił pracę doktorską, w 1985 roku uzyskał stopień doktora habilitowanego

w zakresie językoznawstwa irańskiego i ormiańskiego, a w 1988 roku został docentem. W latach 1966-1967 kontynuował studia w Paryżu, gdzie doskonalił znajomość języków zachodnioormiańskiego i staroormiańskiego (grabar). W roku akademickim 1972/1973 Profesor spędził siedem miesięcy w Teheranie, uzupełniając wiedzę z zakresu języka perskiego. W latach 1988-1991, w ramach stypendium Fundacji Pax Christi, prowadził badania w Wiedniu, a w roku akademickim 1992/1993 wykładał dialektologię ormiańską na Uniwersytecie w Lejdzie. W 2002 roku otrzymał tytuł profesora nauk humanistycznych (tzw. profesurę belwederską) i objął stanowisko profesora nadzwyczajnego.

W dorobku naukowym Profesora Pisowicza centralne miejsce zajmują badania nad językoznawstwem irańskim i ormiańskim. Jego praca doktorska *Le développement du consonantisme arménien* – to kompleksowe opracowanie z fonetyki języka ormiańskiego. Z kolei rozprawa habilitacyjna dotyczyła systemu fonologicznego języka perskiego. Obie publikacje zostały wysoko ocenione przez zagraniczne autorytety z zakresu językoznawstwa.

Działalność Profesora obejmowała także współpracę z polskimi i zagranicznymi instytucjami naukowymi. Należy on do licznych gremiów naukowych, m.in. przez szereg lat brał udział w obradach Komisji Standaryzacji Nazw Geograficznych poza Granicami RP przy Radzie Języka Polskiego PAN; był też autorem licznych ekspertyz i opinii dotyczących języków orientalnych. W 1994-1995 pracował w Ambasadzie RP w Teheranie jako radca.



**Spotkanie w Domu Kultury w Nowej Hucie w Krakowie.
Drugi od lewej dr Janusz Kamocki, trzeci – dr Andrzej Pisowicz, 1976**

Profesor nie ogranicza swoich zainteresowań armenistycznych wyłącznie do sfery akademickiej. Chętnie angażuje się w inicjatywy kulturalne i popularyzatorskie – występował z odczytami o chrześcijaństwie w Armenii, literaturze i języku ormiańskim, uczestniczył w spotkaniach integracyjnych środowiska ormiańskiego, współpracował z artystami i tłumaczami. Zainteresowania tematyką ormiańską obecne są także na kartach tzw. *kroniki rodzinnej*, którą Profesor prowadzi od pięćdziesięciu lat, co pokazuje jak jego zawodowa aktywność i pasja przenikały do codziennego życia. Początkowo *kronika* miała charakter rodzinny, lecz z czasem stała się również zapisem ważnych wydarzeń naukowych, kulturalnych i społecznych, odnoszących się do Ormian w Polsce. W kronice z 1976 roku odnotował udział w Armeńskim Wieczorze Narodowym w Domu Kultury w Nowej Hucie, podczas którego wygłosił prelekcję o roli chrześcijaństwa w dziejach narodu ormiańskiego, ilustrując ją przeżroczami przedstawiającymi zabytki i rękopisy ormiańskie.



dr Andrzej Pisowicz, ok. 1985

W kolejnych latach nawiązywał liczne kontakty z przedstawicielami diaspory ormiańskiej w Polsce – m.in. ze Stanisławem Donigiewiczem z Bielska Białej czy poetą Jerzym Harasymowiczem, który w rozmowach z Profesorem odkrywał swoje ormiańskie korzenie. Z tego okresu pochodzą również jego pierwsze tłumaczenia z literatury ormiańskiej – utwory Parujra Sewaka czy Awetika Isahakiana – oraz inicjatywy mające na celu popularyzację kultury ormiańskiej w Polsce. Zapisy z końca lat siedemdziesiątych ukazują coraz szerszą sieć kontaktów Profesora w środowisku międzynarodowym.

Zaproszenie do udziału w konferencji armenistycznej w Stanach Zjednoczonych oraz recenzje jego prac w „Revue des Études Arméniennes” świadczą o uznaniu, jakim cieszył się wśród badaczy zagranicznych.

Nie sposób pominąć jego fundamentalnej *Gramatyki ormiańskiej. Grabar – aszcharabar* (Kraków 2001) – pierwszego obszernego opracowania poświęconego temu językowi w języku polskim, które do dziś stanowi ważny punkt odniesienia w badaniach nad językiem ormiańskim. Profesor jest również współautorem *Małego słownika ormiańsko-polskiego i polsko-ormiańskiego* (Kraków 2005) oraz tłumaczem literatury ormiańskiej.

W obszarze iranistyki Profesor prowadził badania nad rozwojem systemów fonologicznych języka średnioperskiego i nowoperskiego oraz nad kontaktami językowymi persko-kurdyjskimi i perskotureckimi. Współtworzył podręczniki do nauki języka perskiego (*Fārsi, Az in dar va az ān dar*). Jest również autorem i współautorem prac: *Gramatyka kurdyjska Sorani (wariant używany w Erbilu)* – wraz z Andrzejem Bartzakiem i Muhamadem Muthafarem Farhangiem (Kraków 2012) i autorem *Gramatyki osetyjskiej (dialekt iroński)* (Kraków 2020).

Profesor Pisowicz od początku powstania Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego aktywnie włączył się w jego działalność. W 1994 roku wszedł w skład Kolegium Redakcyjnego „Biuletynu Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego”, wspierając go swoją fachową wiedzą oraz publikując szereg artykułów popularnonaukowych, streszczeń książek i recenzji. Od 2001 roku Profesor Pisowicz regularnie publikował w „Biuletynie” materiały do nauki języka ormiańskiego, które dzięki przystępnej formie i wysokiemu poziomowi merytorycznemu stanowiły nieocenioną pomoc dla osób chcących nauczyć się podstaw tego języka. Profesor redagował także wydawane przez Ormiańskie Towarzystwo Kulturalne tłumaczenia z literatury ormiańskiej, wygłaszał prelekcje i odczyty popularyzujące wiedzę z tematyki ormiańskiej. W 2015 roku został członkiem honorowym Towarzystwa.



Podczas Piątego Ogólnopolskiego Spotkania Środowiska Ormiańskiego w Krakowie, 2000



Wizyta patriarchy ormiańskokatolickiego Nersesa Bedrosa XIX w Radwanowicach, 2001



Prof. Pisowicz tłumaczy rozmowę premiera Armenii Andranika Markariana z kard. Franciszkiem Macharskim, 2005



Z prezydentem Armenii Ser em Sarkisjanem w Zamościu, 2013

Profesor Andrzej Pisowicz do dziś pozostaje aktywnym członkiem Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego. Cechuje go niezwykła pasja badawcza, rzetelność naukowa i oddanie pracy dydaktycznej. Jego dorobek przyczynił się do ugruntowania pozycji polskiej iranistyki i armenistyki w środowisku międzynarodowym.



Konferencja prasowa na temat słownika ormiańskiego Stefana Roszki z XVIII w., 2001

Zarząd i członkowie Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego w Krakowie wyrażają głęboką wdzięczność Profesorowi Andrzejowi Pisowiczowi za wieloletnie zaangażowanie, życzliwość i nieocenione wsparcie, jakiego udziela nam od ponad trzydziestu lat. Z okazji jubileuszu 85. urodzin składamy mu najserdeczniejsze życzenia zdrowia, dalszej aktywności naukowej oraz wielu lat wypełnionych satysfakcją z dokonań, które na trwałe zapisały się w historii polskiej orientalistyki. Liczymy na dalszą współpracę z Panem Profesorem, którego wiedza i doświadczenie stanowią dla nas bezcenne źródło inspiracji i motywacji do działania. Dzięki Jego obecności i zaangażowaniu nasza wspólnota zyskuje

nie tylko merytoryczne oparcie, lecz także poczucie ciągłości i trwałości tradycji, którą Profesor od lat współtworzy. Wierzymy, że kolejne lata przyniosą dalsze owoce tej współpracy, służącej rozwojowi polskiej armenistyki i pogłębianiu wiedzy o dziedzictwie ormiańskim.

Fotografie pochodzą z Archiwum Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego oraz zbiorów prof. Andrzeja Pisowicza.

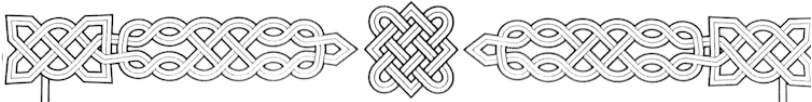
5 listopada w kawiarni "U Pęcherza" w Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego w Collegium Maius świętowaliśmy 85. urodziny Profesora. Na uroczystości zgromadzili się członkowie Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego oraz przyjaciele i znajomi Jubilata.



Uczestnicy przyjęcia urodzinowego prof. Andrzeja Pisowicza, 5 listopada 2025



**Od lewej prof. Andrzej Zięba, prof. Andrzej Pisowicz, Jadwiga Pisowicz
- żona Jubilata**



Zarząd
Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego
w uznaniu zasług dla zachowania
ormiańskiego dziedzictwa kulturowego w Polsce
nadaje
Panu Profesorowi

Andrzejowi Pisowiczowi

TYTUŁ HONOROWEGO CZŁONKA
Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego

Prezes
Dr Maciej Janik

Kraków 5 grudnia 2015 roku



**Dyplom Honorowego Członka Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego
dla prof. Andrzeja Pisowicza, 2015**

Obchody Dnia Pamięci o Ludobójstwie Ormian Erywań 2025

Sandra Bartkowiak
Mateusz Skrzypczak
Poznań

Dnia 24 kwietnia 2025 roku w Erywaniu odbyły się oficjalne obchody Dnia Pamięci Ludobójstwa Ormian. W tym roku przypadła okrągła 110. rocznica tych tragicznych wydarzeń. Data 24 kwietnia jest symbolicznie uznawana za początek planowej eksterminacji narodu ormiańskiego dokonanej przez władze Imperium Osmańskiego. To właśnie tego dnia w 1915 roku tureckie władze aresztowały kilkuset przedstawicieli ormiańskiej elity intelektualnej, politycznej i duchownej w Konstantynopolu, którzy następnie zostali deportowani w głąb kraju. Większość z nich zamordowano.

Było to preludium do szeroko zakrojonych działań represyjnych wobec całej społeczności ormiańskiej. W kolejnych miesiącach i latach zorganizowano masowe wysiedlenia, marsze śmierci oraz przymusowe deportacje ludności cywilnej na tereny dzisiejszej Syrii, przede wszystkim do obozów w Deir ez-Zor. Podczas tych działań setki tysięcy ludzi (nie tylko Ormian, ale również Asyryjczyków) poniosło śmierć z głodu, chorób, wycieńczenia, a także w wyniku brutalnych mordów.

Eksterminacja ta miała charakter czystek etnicznych i religijnych, skierowanych przeciwko chrześcijańskim mniejszościom zamieszkującym Imperium Osmańskie. Jej przebieg charakteryzował się systematycznością, planowym działaniem aparatu państwowego oraz ideologiczną determinacją władz. Szacuje się, że w wyniku ludobójstwa zginęło około 1,5 miliona ludzi.

Na pamiątkę tego wydarzenia, co roku 24 kwietnia, Ormianie na całym świecie, a zwłaszcza w Armenii, oddają hołd ofiarom, składając kwiaty i wieńce pod pomnikami pamięci, szczególnie pod kompleksem memorialnym Cicornakaberd w Erywaniu. Jest to dzień refleksji, modlitwy i upamiętnienia jednej z najtragiczniejszych kart w historii XX wieku.

Pamięć o ludobójstwie Ormian nie zawsze była utrwalana w sposób oficjalny i publiczny. W jej kształtowaniu można wyróżnić dwa kluczowe etapy.

Pierwszy okres, trwający do 1965 roku, charakteryzował się ograniczeniem pamięci do sfery prywatnej – indywidualnych i rodzinnych wspomnień. Publiczne upamiętnianie było wówczas utrudnione lub wręcz zakazane przez władze sowieckie, które obawiały się wzrostu ormiańskiego nacjonalizmu, a poza tym potencjalnych roszczeń terytorialnych wobec Turcji. Mimo to pamięć o tragedii była podtrzymywana w diasporze ormiańskiej, zwłaszcza we Francji, USA czy Libanie. Dopiero po częściowej liberalizacji systemu za rządów Nikity Chruszczowa pozwolono na ograniczone formy upamiętniania także w Armeńskiej SRR.

Drugi okres rozpoczął się w 1965 roku, kiedy w 50. rocznicę ludobójstwa w Erywaniu odbyła się wielotysięczna, 24-godzinna demonstracja. Jej uczestnicy domagali się: oficjalnego i międzynarodowego uznania wydarzeń z lat 1915-1917 za ludobójstwo, możliwości prowadzenia badań naukowych i publikacji dotyczących tej tematyki oraz zgody na budowę pomnika upamiętniającego ofiary.

W odpowiedzi na te postulaty władze sowieckie zezwoliły na wzniesienie Pomnika Ludobójstwa Ormian na wzgórzu Cicornakaberd w Erywaniu. Został on ukończony w 1967 roku. Kilkadziesiąt lat później, w 1995 roku, kompleks ten rozszerzono o Muzeum Ludobójstwa Ormian, które gromadzi dokumenty, świadectwa i materiały historyczne dotyczące tych wydarzeń. Od tego czasu Cicornakaberd stało się centralnym miejscem pamięci narodowej, a 24 kwietnia – symbolem żałoby i jedności narodu ormiańskiego.



Kompleks Cernakberd

W tym roku obchody Dnia Pamięci Ludobójstwa Ormian tradycyjnie poprzedził, zorganizowany 23 kwietnia, wieczorny pochód z pochodniami ulicami Erywania. Wydarzenie to, gromadzące co roku tysiące osób – w tym zwłaszcza młodzież, przedstawiciele organizacji społecznych, weteranów, a także członków diaspory – stanowi symboliczny wstęp do głównych uroczystości 24 kwietnia.

Pochód rozpoczął się na Placu Republiki, w sercu stolicy Armenii, skąd uczestnicy przemaszzerowali w ciszy i zadumie w kierunku wzgórza Cicerakaberd.

W trakcie przemarszu uczestnicy nieśli płonące pochodnie, będące symbolem pamięci, trwania i światła, które rozprasza mrok zapomnienia. Wśród maszerujących widoczne były również transparenty z nazwami ormiańskich miejscowości z terenu Arcachu (Górskiego Karabachu), co stanowiło wyraz solidarności z utraconą ojczyzną oraz przypomnienie o losie Ormian zamieszkujących ten region.

Tego wieczoru nad Erywaniem unosiły się deszczowe chmury, a opady towarzyszyły uczestnikom przez znaczną część marszu. Ormianie podkreślają, że deszcz często pojawia się w dniu upamiętnienia, co bywa interpretowane jako symboliczny znak – „lzy Boga”, oplakującego tragedię narodu ormiańskiego. Mimo niesprzyjającej pogody, uczestnicy nie zrezygnowali z udziału w uroczystości.

Organizatorzy zaznaczyli w swoich przemówieniach, że marsz z pochodniami symbolizuje nie tylko pamięć o minionych wydarzeniach, lecz również ciągłą walkę o prawdę i sprawiedliwość. Jest wyrazem żądania uznania ludobójstwa przez społeczność międzynarodową, ale także przypomnieniem, że pamięć historyczna stanowi część tożsamości narodowej Ormian. Pochód ten ma więc zarówno wymiar historyczny, jak i współczesny – łączy przeszłość z teraźniejszością oraz ukazuje determinację Ormian w zachowaniu pamięci o swoich przodkach.



Centralna część Kompleksu Cicornakaberd

Tegoż dnia, Muzeum-Instytut Ludobójstwa Ormian zainaugurowało nową wystawę czasową pt. „Documenting the Crime: Eyewitness Records of the Armenian Genocide” („Dokumentowanie zbrodni: relacje naocznych świadków ludobójstwa Ormian”). Ekspozycja ta koncentruje się na zeznaniach i świadectwach osób, które bezpośrednio obserwowały wydarzenia z lat 1915-1917. Zaprezentowano zarówno relacje dyplomatów, misjonarzy, lekarzy i korespondentów zagranicznych, jak i listy, raporty, dzienniki oraz fotografie dokumentujące przebieg eksterminacji ludności ormiańskiej w Imperium Osmańskim.

Wystawa podkreśla wagę źródeł pierwszoosobowych w procesie dokumentowania zbrodni oraz walki o jej międzynarodowe uznanie. Materiały te stanowią nie tylko świadectwo cierpienia ofiar, ale także dowód historyczny, który od dziesięcioleci stanowi podstawę badań naukowych nad ludobójstwem Ormian. Kuratorzy wystawy podkreślili, że celem ekspozycji jest nie tylko edukacja, lecz również

Otwarcie wystawy zgromadziło licznych gości – badaczy, przedstawicieli instytucji państwowych, dyplomatów (w tym Marcina Różyckiego, Chargé d’Affaires Rzeczypospolitej Polskiej), członków diaspyry oraz przedstawicieli mediów – i stało się istotnym elementem tegorocznych obchodów 110. rocznicy ludobójstwa Ormian.

Następnego dnia, 24 kwietnia, przez cały dzień setki tysięcy osób – Ormian z Armenii, przedstawicieli ormiańskiej diaspyry z różnych krajów (co można było rozpoznać po niesionych flagach), a także osób innych narodowości pragnących oddać hołd ofiarom – uczestniczyły w uroczystościach upamiętniających.

Obchody rozpoczęły się ceremonią składania kwiatów przy Wiecznym Płomieniu w Sali Pamięci, stanowiącej centralną część kompleksu memorialnego poświęconego ofiarom ludobójstwa Ormian. W uroczystości uczestniczyli przedstawiciele świata polityki, kultury, nauki, sportu oraz reprezentanci różnych grup zawodowych.

Nie zabrakło również wyższych urzędników państwowych. W uroczystościach wzięli udział prezydent Wahagn Chaczaturian, premier Nikol Paszynian, przewodniczący Parlamentu Alen Simonian, a także ministrowie, członkowie parlamentu i inni urzędnicy. Po złożeniu kwiatów pod Wiecznym Płomieniem oraz uczczeniu ofiar ludobójstwa minutą ciszy delegacja udała się do Muzeum-Instytutu Ludobójstwa Ormian, aby obejrzeć wystawę zaprezentowaną dzień wcześniej.

Premier Nikol Paszynian z okazji 110. rocznicy ludobójstwa wydał oświadczenie, w którym wspominał o ofiarach, posługując się ormiańskim terminem *Medz Yeghern* („wielka katastrofa”). Podkreślił w nim zarówno tragizm osobisty, jak i tragedię narodową, która na trwałe wpisała się w świadomość całego narodu. Zaznaczył także znaczenie budowania rozwiniętej, suwerennej i bezpiecznej Republiki Armenii – państwa o ustalonych i otwartych granicach, pokojowych stosunkach z sąsiadami, dobrobycie obywateli i pełnej wolności. Podkreślił, że trwałość państwa jest obowiązkiem wobec męczenników i przyszłych pokoleń, a jej zapewnienie stanowi fundament bezpieczeństwa, rozwoju i tożsamości narodowej.

Swoje oświadczenie złożył również minister spraw zagranicznych Ararat Mirzojan, w którym przypomniał wydarzenia z lat 1915-1917 – okres masowych mordów, traum, wysiedleń oraz niszczenia dziedzictwa kulturowego Ormian. Tragedia ta stała się inspiracją dla powstania międzynarodowych regulacji prawnych, w tym Konwencji ONZ z 1948 roku o zapobieganiu i karaniu zbrodni ludobójstwa. Minister podkreślił, że Armenia, aktywnie działając na rzecz zapobiegania podobnym zbrodniom, doprowadziła m.in. do ustanowienia 9 grudnia Międzynarodowym Dniem Pamięci Ofiar Ludobójstwa oraz do przyjęcia w 2024 roku rezolucji ONZ w sprawie zapobiegania ludobójstwu, mającej na celu zagwarantowanie, że takie wydarzenia nigdy więcej się nie powtórzą.



Ekspozycja stała w Muzeum Ludobójstwa Ormian

Z kolei przewodniczący Parlamentu Alen Simonian oświadczył, że wydarzenia rzezi Ormian pozostawiły głęboką ranę w historii narodu, którego obecnym zadaniem jest budowanie silnej i zjednoczonej Armenii. Podkreślił, że z przeszłych wydarzeń naród ormiański czerpie nie tylko ból i żałobę, ale przede wszystkim siłę do ochrony państwowości, wspierania pokoju oraz dążenia do godnej przyszłości dla kolejnych pokoleń.

W wydarzeniu uczestniczył katolikos Garegin II, który uczcił ofiary ludobójstwa, odprawiając przy Wiecznym Płomieniu modlitwę w ich intencji. Zwierzchnik Kościoła Ormiańskiego podkreślił, że modli się o pomoc i wsparcie dla narodu ormiańskiego, powierzając jego los Bogu.

Pod Wiecznym Płomieniem wieńce złożyli również dyplomaci i przedstawiciele misji zagranicznych z całego świata. Wśród nich obecne były delegacje z ambasad Polski, Stanów Zjednoczonych, Kanady, Ukrainy, Litwy, Gruzji oraz wielu innych państw. Ceremonia ta stała się symbolem międzynarodowego uznania tragedii Ormian i wyrazem solidarności społeczności międzynarodowej w upamiętnianiu ofiar, a także w potępieniu zbrodni ludobójstwa i podkreśleniu znaczenia pamięci historycznej w budowaniu pokoju na świecie.

Tegoroczne uroczystości pokazały, że pamięć o ludobójstwie Ormian jest wciąż żywa, a wspólne upamiętnianie ofiar stanowi wyraz solidarności narodowej i międzynarodowej oraz przypomnienie o konieczności przeciwdziałania podobnym zbrodniom w przyszłości.

Fotografie pochodz. ze zbioru autorów.

Marsz w Krakowie w 110. rocznicę ludobójstwa Ormian

Antoni Amirowicz
Kraków

W 110. rocznicę Մեծ Եղեռն – eksterminacji Ormian w Turcji w 1915 roku – przez Kraków przeszedł 24 kwietnia 2025 roku marsz zorganizowany przez krakowskie Stowarzyszenie polsko-ormiańskie „Lehahayer”. O godzinie 18:00 na placu Jana Matejki zebrało się około 100 osób. Uczestnicy uformowali pochód niosąc flagi Armenii i Polski oraz transparenty informujące o tragicznych wydarzeniach, które Ormianie co roku przypominają światu. Poza niesionym na czele marszu transparentem piętnującym aktualną turecką politykę denializmu historycznego, polegającego na upartym zaprzeczaniu faktom wbrew istniejącej dokumentacji, hasło na jednym transparentie brzmiało *Młodoturcy = bolszewicy = panturkiści. Ta sama ideologia: wyniszczyć Ormian*, a inny transparent informował po angielsku o ludobójstwie kulturowym prowadzonym obecnie w Górskim Karabachu: *The ongoing culturicide of Armenians in Artsakh by Azerbaijan’s authoritarian regime*.

Uczestnicy marszu w powadze przeszli ulicą Floriańską, następnie wokół Rynku, i ulicą Mikołajską pod kościół św. Mikołaja przy ulicy Kopernika. Tam, zgromadzeni pod chaczkarem, wysłuchali pieśni Տեր նորոսէա – Panie, zmiłuj się – w wykonaniu Nare Hovhannisyana (śpiew) i Nelli Martirosyana (duduk). Następnie okolicznościowe przemówienie odczytał prezes stowarzyszenia „Lehahayer”, dr Hayk Hovhannisyana¹.

1 Tekst przemówienia został mi uprzejmie udostępniony przez dr. Hovhannisyana, któremu dziękuję także za dodatkowe informacje, które znalazły się w tym artykule.

Szanowni Państwo, Drodzy Przyjaciele Armenii, Rodacy!

Dziś, 24 kwietnia, gromadzimy się tu – przy ormiańskim chaczkarze w Krakowie, obok kościoła św. Mikołaja – w miejscu modlitwy, ciszy i zadumy, by uczcić pamięć ofiar pierwszego ludobójstwa XX wieku – ludobójstwa Ormian. Po ormiańsku Mec Jeghern, czyli Wielka Zagłada – to nie tylko historyczna nazwa. To krzyk pokoleń, rana, która nigdy się nie zabiłniła. Zostawiła niezatarte piętno w duszy i świadomości każdego Ormianina. Dla wielu z nas to nie tylko tragedia narodu, ale także tragedia rodzin, tragedia naszych imion, historii, domów – tragedia osobista. Mój pradziadek, Howannes, pochodził z Muszu – miasta, w którym dziś nie żyje już żaden Ormianin. Jako jedyny ocalały z całej rodziny znalazł schronienie w wysokich górach Wschodniej Armenii. Moje nazwisko – Howannisjan – noszę na jego cześć. Od jego imienia. W tym roku przypada 110. rocznica ludobójstwa Ormian. Dzisiaj, w dniu upamiętnienia świętych męczenników Wielkiej Zagłady, Ormianie na całym świecie pochylają się nad tragicznym losem swojego narodu. Tego dnia w 1915 roku w Konstantynopolu rozpoczęto masowe aresztowania ormiańskich intelektualistów i działaczy. Wszyscy zostali brutalnie zamordowani. To była dekapitacja narodu – symboliczny początek pierwszej w historii zbrodni na taką skalę.

Ale nie był to pierwszy cios! Już wcześniej, w latach 1894–1896, sułtan Abdulhamid II zainicjował masowe masakry Ormian. W lutym 1915 roku ponad 60 tysięcy ormiańskich żołnierzy służących w armii osmańskiej zostało rozbrojonych i zamordowanych przez własnych towarzyszy broni. Miało to odebrać naszemu narodowi szansę na obronę. Rozpoczęły się masowe deportacje całych rodzin. Setki tysięcy Ormian było zmuszanych do pieszych marszów – marszów śmierci – przez pustynie Syrii i Mezopotamii. Nie dawano im jedzenia ani wody. Ludzie padali z wycieńczenia, byli bici, gwałceni, rozstrzeliwani. Kobiety i dzieci były porywane, islamizowane, wcielane do haremów. Domy zajmowano, majątki konfiskowano, ślady obecności wymazywano. W morzach i rzekach topiono dzieci. Krzyżowano chłopców i mężczyzn. Palono ludzi żywcem.



Uczestnicy marszu, fot. Ashot Antonyan

Wszystko to było elementem zaplanowanej operacji eksterminacyjnej, kierowanej przez rząd młodoturków. W tym celu powołano tzw. „organizację specjalną” – formację złożoną z byłych więźniów, bandytów i morderców. Ich zadaniem była fizyczna eliminacja chrześcijańskiego elementu w Imperium Osmańskim.



Uczestnicy marszu, fot. Smbat Hovhannisyan

Według historyków i ormiańskich źródeł łączna liczba ofiar mogła przekroczyć nawet 2,5 miliona. Zginęło także 900 tysięcy Greków i 400 tysięcy Asyryjczyków. Unicestwiono nie tylko ludność, ale i dziedzictwo kulturowe Ormian w Zachodniej Armenii.

Ludobójstwo Ormian było bezprecedensowe. W tamtym czasie niemal żaden kraj nie podjął realnych kroków, by je powstrzymać. Jak zauważył ambasador USA w Turcji Henry Morgenthau: „Kiedy władze tureckie wydawały rozkazy, faktycznie ogłaszały wyrok śmierci na cały naród”. Świat wtedy milczał. A to milczenie miało

tragiczne konsekwencje. Lata później, Adolf Hitler, planując atak na Polskę i zagładę Żydów, rzucił: „Kto dziś jeszcze pamięta o eksterminacji Ormian?”. Rok 1915 stał się niebezpiecznym precedensem – pokazującym, że można mordować bez konsekwencji.

Pojęcie „ludobójstwo” (genocide) zostało wprowadzone do międzynarodowego prawoznawstwa właśnie w odpowiedzi na zbrodnie, których ofiarą padli Ormianie. Termin ten stworzył Rafał Lemkin – polski prawnik żydowskiego pochodzenia – poruszony zarówno tragedią Ormian w Imperium Osmańskim, jak i późniejszym Holokaustem.

Wracając do kwestii odpowiedzialności za Wielką Zagładę Ormian, musimy podkreślić, że nie tylko Imperium Osmańskie ponosi winę. Ormianie zostali zdradzeni również przez tych, którzy obiecywali pomoc. Carska Rosja, zachęcając do powstań antytureckich, planowała jednocześnie zagarnąć ziemie ormiańskie i zasiedlić je Kozakami. Z dokumentów rosyjskiego dowództwa wynika jasno: celem była rusyfikacja Armenii, nie jej współdzielenie z Ormianami. Mówiono wprost: „Armenia jest nam potrzebna – ale bez Ormian”.

Ludobójstwa Ormian nie dokonano tylko na terytorium Zachodniej Armenii czyli obecnej Turcji. W 1920 roku turecka armia oraz wspierane przez nią tatarskie i kurdyjskie oddziały dokonały rzezi Ormian w Szuszi – kulturalnym i duchowym centrum Górskiego Karabachu. Zginęło ponad 20 tysięcy osób, a miasto zostało całkowicie wyludnione z Ormian.

W 1988 roku azerscy nacjonaliści rozpoczęli pogromy Ormian w Sumgajicie – miasteczku położonym nieopodal Baku. Z kolei w samym Baku Ormianie padli ofiarą trzech wielkich pogromów: w 1905, 1918 i 1990 roku. Tylko w 1990 roku z miasta przymusowo wysiedlono ponad 200 tysięcy Ormian.

Najnowsze akty genocydu i kulturocydu miały miejsce w 2020 roku, kiedy autorytarny rząd Azerbejdżanu – wspierany przez Turcję i przy udziale tureckich dowódców wojskowych – zaatakował Górski Karabach. W 2023 roku, po wielomiesięcznej blokadzie humanitarnej, ponad 120 tysięcy Ormian zostało zmuszonych do opuszczenia swojej ojczyzny – ormiańskiego Arcachu. Na naszych oczach

zbrodniczy reżim w Baku bezkarnie niszczy ślady ormiańskiej obecności na terenie zaanektowanego Karabachu: likwiduje cmentarze, przekształca kościoły, fałszuje historię.

W cieniu tej historycznej katastrofy musimy pamiętać o odwadze Ormian, którzy w wielu miejscowościach nie czekali biernie na śmierć. Bohaterskie walki w Wanie, Sasunie, Musa Ler przeszły do historii. Ruch oporu nie zakończył się wraz z pierwszą wojną światową. W ramach tajnej operacji „Nemezis” ormiańscy mściciele zlikwidowali głównych organizatorów zagłady: Talaata Paszę, Dżemala Paszę, Saida Halima – premiera pierwszego rządu młodoturckiego, Dżemala Azmiego – byłego gubernatora osmańskiej prowincji Trabzon, znanego pod przydomkiem „Rzeźnik z Trabzonu” oraz Behaeddina Şakira, twórcy zbrodniczej, tajnej organizacji odpowiedzialnej za realizację planu zagłady Ormian. Zaś Enver Pasza zginął w innych okolicznościach, lecz również z ręki Ormianina.

Turcja do dziś nie uznała Ludobójstwa Ormian. Co więcej, jego publiczne omawianie jest karalne w Turcji. Mimo to ponad 30 państw na świecie, w tym Polska, uznało je oficjalnie. Do dziś na terenie Turcji żyją tak zwani „ukryci Ormianie” – ludzie, którzy z obawy przed represjami wciąż nie ujawniają swojego pochodzenia.

Po uzyskaniu niepodległości Armenia wciąż pozostaje pod presją, bowiem Turcja prowadzi wobec niej politykę blokady. Granice są zamknięte, mimo wielokrotnych prób ich otwarcia ze strony władz Republiki Armenii. Czym, jeśli nie kontynuacją polityki zagłady, jest taka postawa?

W 2015 roku Kościół Ormiański kanonizował wszystkie 1,5 miliona ofiar jako świętych męczenników, a Kompleks Pamięci Ludobójstwa Ormian na wzgórzu Cicerakaberd w Erywaniu pozostaje miejscem ich czci, pamięci i modlitwy.

Ludobójstwo Ormian to nie tylko historia. To ostrzeżenie, że milczenie i bezkarność prowadzą do kolejnych tragedii. Dlatego pamięć o tej zbrodni jest dla nas tak ważna – i powinna być ważna dla całej ludzkości. My, Ormianie, nie szukamy odwetu. Szukamy sprawiedliwości.

W 2008 roku dwustu odważnych tureckich intelektualistów podpisało list przeprosin za „wielką katastrofę 1915 roku”. To był moment nadziei, ale dziś nie słyhać ich głosu. Nie wiemy, czy zostali zastraszeni, uciszeni? Dziś, zamiast uznania winy i przeprosin, autorytarne rządy Turcji i Azerbejdżanu realizują nowy niszczycielski plan. Tworzą mit nigdy nieistniejącego „Zachodniego Azerbejdżanu” i dążą do ostatecznego wymazania ormiańskiej państwowości z mapy.

My jednak – jako diaspora ormiańska, tutaj w Krakowie – w mieście wolności i pamięci – mówimy głośno: Nigdy więcej. Jako mniejszość ormiańska, jako Polscy Ormianie, jako część cywilizowanego świata – nie możemy milczeć, gdy historia się powtarza. Nie możemy pozwolić na albanizację² naszych kościołów i wymazanie naszej tożsamości. Milczenie to przyzwolenie. Pamięć – to nasz obowiązek. To nasza wspólna siła. Nie dla nienawiści – lecz dla przyszłości, w której prawda i godność każdego narodu są nienaruszalne.

Z przykrością przyjęliśmy wiadomość, że polska Komisja Sejmowa odmówiła ujęcia w swoim kalendarzu obchodów rocznicy ludobójstwa Ormian, mimo że inicjatywa ta została zgłoszona przez przedstawiciela Mniejszości Ormiańskiej w Komisji Wspólnej Rządu i Mniejszości Narodowych. Polscy Ormianie mają prawo pamiętać o tych, których zamordowano w tak okrutny sposób – a pamięć o nich wciąż próbuje się wymazać!

2 Mówiąc o „albanizacji” kościołów ormiańskich na terenie Azerbejdżanu dr Hayk Hovhannisyany nawiązuje do starożytnej (!) Albanii kaukaskiej (a nie do współczesnej bałkańskiej Republiki Albanii). Ludność tamtego państwa mówiła językiem z północnowschodniej grupy języków kaukaskich i wyznawała chrześcijaństwo. Z czasem starożytni Albańczycy kaukascy ulegli asymilacji z Ormianami i w swych kościołach zaczęli umieszczać napisy w języku staroormiańskim (grabar). Obecnie władze Azerbejdżanu usiłują wymazać ormiański charakter kościołów i klasztorów ormiańskich pozostałych na terenie ich kraju opisując je jako rzekomo „albańskie”. Jest to godna potępienia próba zafalszowania historii kwestionująca ormiańskie dziedzictwo kulturowe obecne do dziś na terenie Azerbejdżanu.

Wieczna pamięć ofiarom i chwała sprawiedliwości!
Niech zwycięża prawda i niech trwa Armenia!

Po wysłuchaniu przemówienia zebrani odmówili Հայր Աթոռ (Ojcze nasz) po ormiańsku. Modlitwa zakończyła oficjalną część uroczystości.

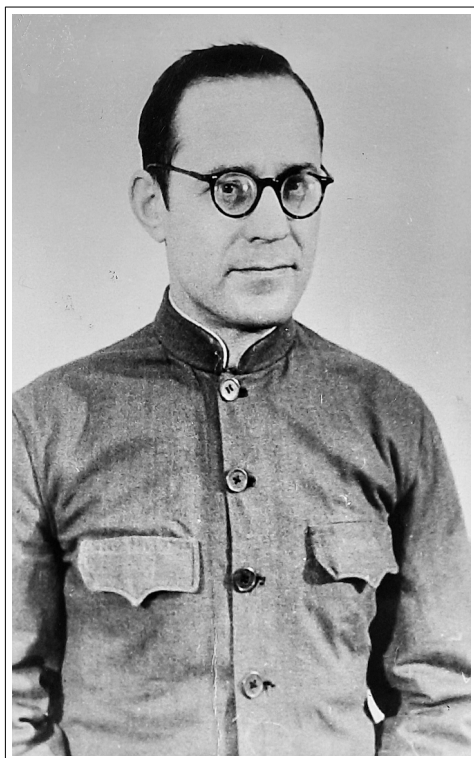
Po marszu Hayk Hovhannisyan napisał na swojej stronie facebookowej: „Dziękuję wszystkim, którzy byli z nami, by oddać hołd niewinnym ofiarom i upomnieć się o sprawiedliwość. 24 kwietnia to dzień, w którym każdy Ormianin powinien odłożyć na bok codzienne sprawy i obowiązki, by wziąć udział w wydarzeniach upamiętniających ofiary Ludobójstwa Ormian”. Godne odnotowania są również te jego słowa: „Szczególne podziękowania kieruję do polskiej policji za profesjonalną służbę, dzięki której marsz przebiegł spokojnie, bez zakłóceń i bez żadnych prowokacji”.

Mój udział w pracy konspiracyjnej w latach 1941-1945¹

ks. Kazimierz Romaszkan²

Jestem kapłanem obrządku ormiańskokatolickiego. Przed drugą wojną światową mieszkałem we Lwowie przy ulicy Ormiańskiej nr 7 i tam pracowałem przy katedrze w charakterze wikarego. W okresie okupacji niemieckiej brałem czynny udział w pracy konspiracyjnej. Moje pseudo „Beretto”. Pod tym mianem byłem znany jako kapelan i jako znawca zagadnień ukraińskich na terenie Małopolski. Od roku 1941 wciągnąłem się do jednej tajnej organizacji, która w początkach swego istnienia nosiła nazwę Konfederacji Narodów. Głównym celem wspomnianej organizacji było nawiązanie kontaktu z sąsiednimi narodami, w szczególności znalezienie pokojowego rozwiązania konfliktu ukraińsko-polskiego. Konfederacja Narodów w późniejszym etapie swego rozwoju weszła w skład Armii Krajowej (AK). Do Konfederacji Narodów należeli wówczas najwybitniejsi działacze polityczni i społeczni. Z czołowych ludzi terenu lwowskiego należących do Konfederacji Narodów zapamiętałem p. Petry'ego, dyrektora Rozgłośni Lwowskiej, Bernarda Nuszkowskiego i inż. Musiała.

- 1 Maszynopis wspomnień przechowywany jest w Archiwum Fundacji Kultury i Dziedzictwa Ormian Polskich w Warszawie, zespół: Kościół Świętej Trójcy w Gliwicach, sygn. 101.
- 2 Kazimierz Romaszkan (1909-1973) – kapłan archidiecezji lwowskiej obrządku ormiańskiego. Studiował w Papieskim Kolegium Ormiańskim i na Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie, gdzie w 1935 roku przyjął święcenia kapłańskie. Pracował duszpastersko wśród Ormian w Stanisławowie i Lwowie, będąc także sekretarzem arcybiskupa Józefa Teodorowicza. W czasie II wojny światowej angażował się w działalność konspiracyjną, pomagał uchodźcom i ratował Żydów. Po wojnie aresztowany przez NKWD i w 1946 roku skazany na łagry w Norylsku, gdzie spędził blisko 10 lat. Od 1957 roku działał w Polsce jako duszpasterz, początkowo w diecezji wrocławskiej, a od 1969 roku jako rektor kościoła ormiańskiego w Gliwicach. Zabiegał o jedność i życie religijne wspólnoty ormiańskokatolickiej w Polsce.



Ks. Kazimierz Romaszkan, po 1945 r.
(Archiwum Fundacji Kultury i Dziedzictwa
Ormian Polskich)

Od Dowództwa organizacji otrzymałem polecenie przeprowadzenia sondażu i analizy opinii czołowych ukraińskich działaczy polityczno-społecznych w przedmiocie istniejącego konfliktu między bratnimi narodami. Po kilkunastomiesięcznej pracy mediacyjnej zorientowałem się dokładnie o zajęтым stanowisku Ukraińców w stosunku do Polaków mieszkających na terytorium Małopolski. Rezultat mojej mediacji w formie diagnozy natychmiast przekazałem Dowództwu AK.

Drugim kolejnym zadaniem powierzonym mi przez Dowództwo AK było nawiązanie kontaktu z Główną Komendą Wojsk Włoskich, stacjonowanych we Lwowie przy ulicy Kopernika. Do wykonania powyższego zadania pomogła

mi znajomość języka włoskiego, który opanowałem będąc na studiach w Rzymie jako słuchacz Uniwersytetu Gregoriańskiego. W niedługim stosunkowo czasie zawarłem znajomość z Komendantem Etapu Wojsk Włoskich pułkownikiem dr. Paluzzi, który bardzo życzliwie ustosunkował się do naszej tragicznej sytuacji, oddając wielkie usługi na rzecz walczącego podziemia z okupantem. Dzięki przyjaźnie ustosunkowanym Włochom nasze podziemie mogło niejednokrotnie zaopatrzyć się w broń i potrzebną amunicję.

Wspomniany Pułkownik Paluzzi oddawał naszej organizacji jeszcze o wiele ważniejsze usługi, mianowicie od czasu do czasu przekazywał na jego ręce różne meldunki i raporty otrzymywane od Dowództwa AK. Ten jadąc do Rzymu oddawał powierzone mu materiały p. dr. Papée, ówczesnemu Ambasadorowi Rzeczypospolitej przy Watykanie. Ambasador mając autentyczne dowody różnych form gwałtu, terroru, rozstrzeliwań i deportacji dokonywanych systematycznie na bezbronnej ludności polskiej, z urzędu informował o tym opinię, wzywając wszystkich ludzi do walki z barbarzyństwem i niesłychanym bezprawiem XX wieku.

W latach okupacji prowadziłem akcję ratowania Żydów od śmierci [z rąk funkcjonariuszy] Gestapo. Różnych form używałem w wypełnianiu humanitarnego obowiązku, jak wydawanie metryk chrztu z parafii katedry ormiańskiej, zaświadczeń mówiących o aryjskim pochodzeniu. Starłem się umożliwić ukrywanie Żydów w mieszkaniach znajomych lub krewnych, a gdy się nie udawało zagwarantować bezpieczeństwa na miejscu, wówczas wysyłaliśmy tych ludzi na prowincję, zaopatrując ich w odpowiednie dokumenty. W tej wzniosłej akcji bardzo wielką rolę odegrał ostatni ordynariusz archidiecezji lwowsko-ormiańskiej ks. infułat Dionizy Kajetanowicz, który wszystkim swoim podwładnym kapłanom wydał tajne rozporządzenie niesienia pomocy zagrożonej ludności polskiej i żydowskiej.

Takie stanowisko dostojnika Kościoła ormiańskokatolickiego we Lwowie musiało znaleźć swój wyraz w nienawiści okupanta w stosunku do dostojnego hierarchy. W roku 1942 ks. infułat D. Kajetanowicz został aresztowany przez Gestapo, był męczony i katowany. Dzięki interwencji różnych wybitnych osobistości oraz wielkiego okupu został zwolniony z więzienia, ukrył się w klasztorze oo. Franciszkanów, gdzie pozostał do kapitulacji Trzeciej Rzeszy. Pamiętam wielu Żydów, którzy dzięki naszej pomocy ocaleni. Wymienię tylko kilku: Scharfowa-Kahane mieszkająca obecnie w Izraelu, jej córka Nina, lekarz chorób płucnych mieszkająca we Wrocławiu przy ulicy Starczej. W Wiedniu znajduje się Ewa Łaska (Feirbach) mieszkająca przy swojej ciotce Zimmermannowej.

W Warszawie mieszka dr Emil Wartanowicz (Rosenberg) oraz jego siostra z córką. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że uratowanych jest o wiele więcej, lecz brak kontaktu z nimi uniemożliwia podanie ich nazwisk i adresów.

Ks. infułat Kajetanowicz kilka razy interweniował u metropolity Szeptyckiego w sprawie wywoływanych mordów dokonywanych na Polakach. Niestety metropolita Szeptycki, mimo najszczerzych chęci i wielkiego swego autorytetu, nie zdołał powstrzymać rozszalałych, zbrodniczych i niskich instynktów szowinistów ukraińskich.

Od roku 1941 pracował bardzo ofiarnie dla Polaków – uchodźców ks. Stanisław Łaski obrządku ormiańskiego, który bywał przy parafii w Łyścu, woj. Stanisławów. Swoją charytatywną pracę prowadził pod opieką Nuncjatury Papieskiej przy Rządzie Węgierskim. Niestety został zdemaskowany przez agentów Gestapo, aresztowany i wywieziony do obozu koncentracyjnego, w którym zginął. Podzielił los setek tysięcy więźniów, którzy przechodząc przez piekło obozowe odeszli na zawsze z tego świata. Możemy powołać się na autentycznego świadka ks. Stanisława Krzyworączkę – saletyna, który przez jakiś czas pracował razem z ks. Łaskim na Węgrzech.

Dowództwo AK bardzo często korzystało z mego mieszkania we Lwowie przy ulicy Ormiańskiej nr 7. Bardzo ważne narady i decyzje podejmowano w cieniu prastarej katedry ormiańskiej, w murach której zakuty jest niezłomny duch wierności dla naszej Ojczyzny ze strony tych, którzy jako przybysze gościnnie zostali przyjęci przez szlachetnych królów i wielkoduszny Naród Polski w wieku XII.

„Moja” druga wojna światowa 1938-1944 (część 1)

Michał Bohosiewicz¹

Urodziłem się w 1914 roku w monarchii austro-węgierskiej na Bukowinie – prowincji, która po pierwszej wojnie światowej i rozpadzie Austrii przypadła królestwu Rumunii. Stałem się więc w 1918 roku obywatelem kraju, w którym na pierwszej stronie paszportu widniał napis: „În numele Majestății Sale Carol al II-lea, din grația lui Dumnezeu și voința națională, Rege al României”, co się tłumaczy: „W imieniu Majestatu Karola II, z łaski Boga i woli Narodu króla Rumunii”. Gdy nadszedł czas, jako wierny poddany królów rumuńskich kolejno: Ferdynanda I, Karola II, Michała I, powtórnie Karola II i Michała I, musiałem odbyć obowiązkową służbę wojskową.

Szkolę średnią ukończyłem w Polsce, w 1933 roku rozpocząłem studia w Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie. Przed pierwszym poborem otrzymywałem paszport bez trudu. Później odmówiono mi wydania paszportu, mimo to kontynuowałem studia. Początkowo posługiwałem się stałą przepustką rolną, a gdy i tej

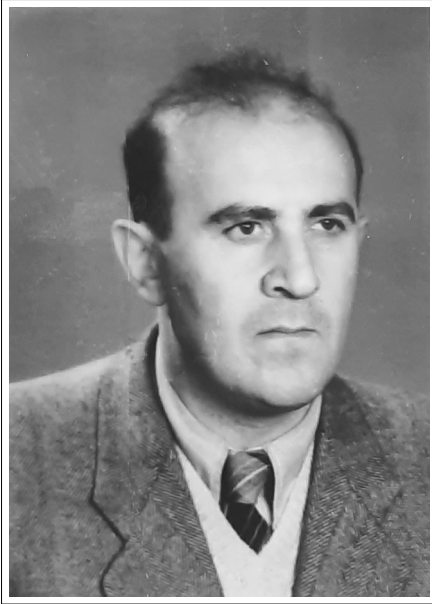
1 Michał Bohosiewicz (1914-1998) – urodził się w Baniłowie w rodzinie ormiańskiej. W 1933 roku ukończył Państwowe Gimnazjum im. Króla Kazimierza Jagiellończyka w Kołomyi, gdzie zdał maturę. W latach 1933-1938 studiował na Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie; naukę przerwał z powodu powołania do służby wojskowej w Rumunii. W latach 1941-1944, z przerwami, został zmobilizowany do armii rumuńskiej i przydzielony do służby weterynaryjnej. W listopadzie 1946 roku przyjechał do Wrocławia, gdzie na tamtejszym uniwersytecie dokończył studia z zakresu medycyny weterynaryjnej. W 1951 roku uzyskał stopień doktora, w 1962 roku habilitował się z zakresu toksykologii weterynaryjnej; w 1972 roku został profesorem. Publikowane wspomnienia z okresu II wojny światowej znajdują się w Archiwum Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego i zostały udostępnione przez syna Michała – Grzegorza Bohosiewicza. Na Górnym Śląsku i w Krakowie działał inny Michał Bohosiewicz (1926-1988) – pierwszy prezes Koła Zainteresowań Kulturą Ormian przy Polskim Towarzystwie Ludoznawczym w Krakowie (1980-1988).

mi odmówiono, dzięki „familijnym” stosunkom na jednym z punktów granicznych korzystałem z jednorazowych kilkudniowych przepustek. Dostawszy się w ramach małego ruchu granicznego do strefy przygranicznej jechałem dalej do Lwowa. Tym sposobem mogłem kontynuować studia w latach 1935-1937, kiedy odmówiono mi także jednorazowych przepustek. Moje pobyty we Lwowie były w tym okresie nielegalne, lecz urząd kontroli obcokrajowców tolerował to „przestępstwo”.

Matura złożona za granicą nie dawała w Rumunii prawa do skróconej służby wojskowej. Aby korzystać z przywileju rocznej służby musiałbym polską maturę nostryfikować przed rumuńską komisją, czego z powodu nieznamość języka nie mogłem zrobić. Byłem skazany na służbę jako prosty żołnierz, której czas zależnie od broni wynosił dwa lub trzy lata. Tak długa przerwa w studiach i normalnym życiu krzyżowałaby dotkliwie moje plany, starałem się więc zrobić wszystko, aby uniknąć tego „patriotycznego” obowiązku.

Działalność komisji poborowych w Rumunii przedstawiała się w dużym skrócie następująco: mogły one udzielić dwukrotnie odroczenia z powodów zdrowotnych, lecz za niezdolnego do służby uznawały jedynie poborowego z widocznym kalectwem. Do rzadkich wyjątków należało uznanie za niezdolnego do służby bez widocznej wady lub jaskrawych objawów chorobowych. Uznanych za zdolnych wcielano, a jeżeli z jakichś powodów któryś nie nadawał się do wojska, zwalniała go jednostka. Widziałem zdecydowanych debili, nie nadających się do służby, których jednak zatrzymano w jednostce do prac fizycznych.

Dzięki znajomościom i poparciu brzęczących załączników w 1935 i 1936 roku uzyskałem odroczenie z powodów zdrowotnych. Nadszedł trzeci pobór – decydujący, starałem się więc zrobić wszystko, aby zwolniono mnie definitywnie. Dotarłem do lekarza mojej komisji, zawodowego kapitana, którego głos był decydujący. Doszedłem z nim do porozumienia, że za 50 000 lej (w owym czasie około 500 dolarów) uzna mnie za niezdolnego do służby; jego rzeczą było załatwienie sprawy z pozostałymi członkami komisji. Pieniądze dałem, stanąłem przed komisją i usłyszałem „zdolny do służby pomocniczej”. Mój kontrahent tłumaczył się gęsto, że nowe przepisy



Prof. Michał Bohosiewicz (1914-1998)

nie pozwalają na uznanie za niezdolnego do służby osobnika o moim wyglądzie i stanie zdrowia, że po wcieleniu załatwi mi zwolnienie z jednostki itp. Moje żądania zwrotu pieniędzy zbył kpinami wiedząc, że zdaję sobie sprawę, iż dający łapówkę odpowiada karnie tak samo jak biorący ją, i że nie chcę narażać się na utratę wolności lub wysoką grzywnę. Na razie zrezygnowałem z odbioru pieniędzy, lecz po paru miesiącach powróciłem do tej sprawy.

Dotychczasowe starania poszły na marne. Uznanie mnie za zdolnego do służby pomocniczej w niczym nie zmieniło faktu, że jako prosty żołnierz musiał-

bym ubrać mundur na co najmniej dwa lata. Mój „patriotyzm” nie był aż tak duży, abym się z tym pogodził, trzeba więc było poszukać sposobu, jeśli nie wykręcenia się ze służby, to bodaj jej skrócenia.

W rumuńskiej armii przetrwał model służby chyba jeszcze z ubiegłego wieku, nieznan w innych krajach, tzw. „Călăraș cu schimb” (czyt. „Kalarasz ku skib”), co dosłownie znaczy: „jeździec na zmianę”. Taki „kalarasz” służył w kawalerii z własnym koniem i umundurowaniem przez około osiem miesięcy rozłożonych w czasie. Okres rekrucki: marzec-maj, dalsza służba w jesieni: wrzesień-październik, w tym udział w manewrach, wreszcie trzy miesiące na wiosnę w następnym roku. W przerwach służby i w ciągu trzech lat po jej ukończeniu koń pozostawał w ewidencji jednostki, „kalarasz” miał obowiązek przedstawiać go do kontroli dwa razy w roku. Gdyby w tym czasie koń padł lub przestał odpowiadać wymogom, właściciel musiał dostarczyć innego konia. Ofiarowanie konia jednostce zwalniało od tych obowiązków, było dobrze widziane

i dawało rekrutowi lepszy start. Z takiego modelu służby korzystali głównie Żydzi, którzy z reguły darowywali konia jednostce, i rzadziej bogaci chłopci, którzy w przerwach służby i po jej zakończeniu wykorzystywali konia do pracy we własnym gospodarstwie. Ogromną większość „kalaraszów” stanowili Żydzi, stąd też ułatła się nazwa „die jüdischen Kosaken”. W mojej sytuacji taka służba była jedynym wyjściem, załatwiłem więc konieczne formalności i stałem się takim „kozakiem”, konia oczywiście ofiarowałem jednostce.

Służbę rozpocząłem w marcu 1938 roku w 11. pułku kawalerii „Roșiori” (czyt. „Roszióri”) stacjonującym w Czerniowcach (podobnie jak w Polsce były elitarne pułki „szwoleżerów” i „ułanów”, tak i w Rumunii było kilka elitarnych pułków kawalerii o nazwie „Roșiori”). W pułku było kilkudziesięciu „kalaraszów”, w każdym szwadronie po kilkunastu. Większość ich korzystała z przywileju mieszkania poza koszarami. Normalną służbę pełnili od godziny 6:00 do 18:00, co kilka dni nocne dyżury w stajni, a po przysiędze także służbę wartowniczą. Aby uniknąć dyżurów i służby wartowniczej nieskoszarowani „kalarasze” opłacali się podoficerom. Niższe szarże zawsze niecierpliwie oczekiwały wcielenia „kalaraszów”, którzy byli dla nich dobrym, pewnym i stałym źródłem dochodów.

Moje stosunki z przełożonymi od samego początku ułożyły się dobrze. Wachmistrz (szef szwadronu) wiedział z dokumentów, kim jestem i czego może się po mnie spodziewać. Nie zawiodłem jego nadziei już przy przedstawianiu konia do aprobaty komisji, później zaś regularnie uiszczałem swój „haracz”. On z kolei zawsze szedł mi na rękę i w różnych sytuacjach ułatwiał służbę. Dowódca plutonu porucznik Harvat z pochodzenia Polak znał mego kuzyna w Czerniowcach. W pierwszej rozmowie powiedział: „wiem, że jesteś Polakiem, studiujesz we Lwowie i nie masz prawa jednorocznictwa. Jesteś prostym żołnierzem, musisz więc przestrzegać dyscypliny i słuchać rozkazów. Nie mogę cię protegować, gdyby jednak ktoś ciebie szykanował, zamelduj, a ja załatwię sprawę”.

Oczywiście nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło jakiegokolwiek meldowanie. Ładnie bym w takim wypadku wyglądał. Nie było zresztą potrzeby, niższe szarże odnosiły się do mnie dobrze, tylko jeden kaprał od pierwszego dnia „zaopiekował się” mną.

Każdego ranka wydziwiał i przyczepiał się: że nie umiem czyścić konia, że nawóz niezebrany, że kopyta nieoczyszczone i nienasmarowane oliwą, a to że strzemiona i sprzączki zardzewiały a siodło brudne itp. Wciąż obiecywał przedstawić mnie za te „przewinienia” do karnego raportu. Wreszcie, któregoś ranka, chyba po tygodniu, miałem tego dość i kiedy zaczął zwykłe wymówki, oczywiście obficie okraszone wojskową „łaciną”, mruknąłem po polsku: „odp.. się ty sk... bo jak cię zaczeszę zgrzeblem, to odwiozą cię do szpitala”. Usłyszawszy to otworzył gębę, wytrzeszczył oczy i powiedział po polsku: „Toś ty Polak, a ja cały czas myślałem, że jesteś Żydem”. Był to Polak, który miał już rok służby za sobą. Szykany oczywiście skończyły się, zaprzyjaźniliśmy się i miałem w nim prawdziwego „opiekuna”, chroniącego mnie przed innymi, którzy próbowali robić mi trudności; będę jeszcze o tym pisał.

Początkowo miałem poważne trudności z językiem. Nigdy nie nauczyłem się po rumuńsku, znane mi kilkanaście słów nie wystarczało, aby rozumieć rozkazy i porozumiewać się. Pierwsza moja rozmowa z dowódcą plutonu toczyła się po niemiecku. Ćwiczenia wykonywałem podglądając, co robią sąsiedzi. Szybko jednak nauczyłem się i pod koniec okresu rekruckiego już łatwo porozumiewałem się.

Minął okres rekrucki, przeszły jesienne manewry. Zimą spędziłem w domu. W 1939 roku udało mi się odebrać łapówkę daną lekarzowi komisji poborowej, przed którą stawałem w 1937 roku. Nie było to łatwe, w rozmowach bez świadków lekarz zdecydowanie odmawiał zwrotu pieniędzy. Za radą znajomego pułkownika spróbowałem szantażu. Polecony przez niego adwokat wezwał lekarza do spotkania ze mną w jego biurze celem omówienia „wiadomej” sprawy. Kapitan przyszedł w określonym terminie. Gdy po dłuższej dyskusji nadal odmawiał zwrotu pieniędzy, poprosiłem adwokata, aby odczytał wcześniej przygotowane pismo skierowane do Szefostwa Służby Sanitarnej w Ministerstwie Spraw Wojskowych, w którym drobiazgowo przedstawiłem sprawę. Usłyszawszy treść pisma lekarz oświadczył, że nie wierzy, abym zdecydował się je wysłać, gdyż w sprawach o łapownictwo obie strony odpowiadają za popełnione przestępstwo. Odparłem, że wiem o tym i jestem przygotowany na skutki. Ja mogę zostać ukarany

czasowym pozbawieniem wolności, co niewątpliwie będzie przykre. Jemu natomiast, poza podobną karą, grozi degradacja, wyrzucenie z wojska, a może nawet odebranie prawa wykonywania praktyki lekarskiej. Słyszając to oświadczył, że gotów jest zwrócić połowę otrzymanej kwoty, tyle bowiem zatrzymał dla siebie, resztę rozdzielił między członków komisji. Widząc, że wyraźnie zmiękł, twardo żądałem zwrotu całej sumy. Po dalszej, krótkiej już dyskusji doszliśmy do ugody. On opłacił adwokata i dał mi gotówką 10 000 lej, na resztę wystawił 4 weksle płatne w odstępach miesięcznych. Odbierając ostatnią ratę nie mogłem odmówić sobie przyjemności wyjaśnienia mu, że w żadnym wypadku nie byłbym wysłał pisma. Usłyszawszy to poczerwieniał, zaczął dusić się i wyglądał jakby za chwilę miała go trafić apopleksja. Był to chyba pierwszy wypadek zwrotu pieniędzy w jego łpówkarskiej karierze.

W marcu 1939 roku rozpocząłem trzeci przewidziany regulaminem, lecz, jak się wkrótce okazało, nie ostatni etap służby. Na żądanie pułkowego lekarza weterynarii, kapitana doktora Siengalewicza, który dowiedział się w biurze mobilizacyjnym, że jestem studentem czwartego roku Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, zostałem odkomenderowany do jego dyspozycji. Odtąd pełniłem służbę w formacjach weterynaryjnych do czasu mobilizacji.

Pogarszająca się sytuacja międzynarodowa rozwiała nadzieję na zwolnienie do cywila w normalnym terminie. W maju zaczęto powoływać rezerwistów i rekwirować konie, w gruncie rzeczy rozpoczęła się cicha mobilizacja.

Wcześniej nie przemęczałem się pracą w pułkowym ambulansie, w związku z rekwizycją koni przybywało jednak pracy z każdym dniem: badanie, maleinizacja, rozdział do poszczególnych szwadronów, wreszcie codzienna sprawozdawczość. W koszarach stawało się coraz ciasniej, przybywało ludzi i koni. Na przełomie czerwca i lipca 1939 roku oddziały zaczęły wychodzić w teren do miejscowości oddalonych kilka kilometrów od Czerniowiec. Uzupełnienia nadchodziły w końcu lipca.

W drugiej dekadzie sierpnia wysłano pułk do Siedmiogrodu, podróż koleją trwała 4 dni. Na stacjach spotykaliśmy sporo transportów wojskowych jadących w kierunku granicy węgierskiej. Po wyładowaniu rozpoczęły się ubezpieczone marsze nocne, kamuflowanie sprzętu, w dzień obowiązywała tajemnica wojskowa. Przy całej tej „tajemnicy” miejscowa ludność doskonale wiedziała o gromadzeniu się wojsk nie tylko po rumuńskiej stronie granicy, ale i po węgierskiej. Przy coraz bardziej zaostrzającym się konflikcie polsko-niemieckim istniała poważna groźba wybuchu wojny. Wojska zgromadzone na granicy miały stanowić zabezpieczenie przed ewentualnym atakiem Węgrów. Stosunki rumuńsko-węgierskie nawet w najlepszych czasach pokojowych zawsze były napięte.

W dniu podpisania w Moskwie układu Ribbentrop-Mołotow (27 sierpnia) nadszedł rozkaz natychmiastowego powrotu na Bukowiinę. Wyjechaliśmy w nocy 27/28 sierpnia, na miejsce przybyliśmy w dniu wybuchu wojny. Wyładowano nas w miejscowościach, które opuściliśmy przed kilkunastoma dniami. Zakwaterowani niekiedy w domach, w których staliśmy poprzednio, oczekiwaliśmy, co przyniosą najbliższe dni.

Pierwszego września wybuchła wojna, śledziliśmy z uwagą rozwój wypadków. Przed wieczorem 17 września, już w pierwszym dniu wkroczenia Sowietów do Polski, na szosie, przy której stacjonowaliśmy, pojawiły się pierwsze zwarte oddziały polskiego wojska, niektóre jeszcze z bronią, inne rozbrojone. Szły różne formacje, wśród rumuńskich wojskowych szczególne zainteresowanie budziły jednostki zmotoryzowane. Wojska szły nieprzerwanym strumieniem dzień i noc; trwało to cztery doby.

W pułku oprócz mnie było jeszcze kilkunastu Polaków. Często rozmawialiśmy z polskimi oficerami i żołnierzami. Niektórzy od początku działań cofali się i nie mieli styczności z Niemcami, inni brali udział w walkach. W naszym pułku zorganizowano samorzutnie doraźną zbiórkę na pomoc dla Polaków, wzięli w niej udział oficerowie, podoficerowie i szeregowi; poważniejszej pomocy udzieliło kwatermistrzostwo pułku.

Któregoś dnia wyrwałem się na kilka godzin do Czerniowiec, gdzie zetknąłem się z licznymi uchodźcami cywilnymi. Wielu z nich otrzymywało w polskim konsulacie paszporty, co ułatwiało im późniejszy wyjazd do Francji czy na Bliski Wschód. Miejscowi Polacy szybko zorganizowali daleko idącą pomoc dla cywilnych uchodźców. Zawiązany w tym celu komitet funkcjonował do 27 czerwca 1940 roku, to jest do dnia wkroczenia Sowietów na Bukowinę i pomagał pojedynczym uchodźcom, którym udało się uciec z Polski, głównie z terenów zajętych przez Sowietów.

Drugiego dnia po wkroczeniu Sowietów do Polski (18 września 1939 roku) przyjechał do nas kuzyn z rodziną (3 osoby), właściciel majątku pod Zabłotowem. Mieszkali u nas przez zimę, a wiosną 1940 roku wyjechali na Bliski Wschód. Pułk stał w pobliżu Czerniowiec przez cały wrzesień. Z początkiem października odszedł na Besarabię, gdzie rozlokowany w kilku miejscowościach w sąsiedztwie Nowosielicy stacjonował przez zimę. Mój szwadron zakwaterowano we wsi Stalineszty, gdzie dwaj moi kuzyni – bracia Romaszkanowie mieli majątek ziemski. Aby zapewnić opiekę sanitarną koniom w tej miejscowości oddalonej kilka kilometrów od Nowosielicy, gdzie stał ambulans weterynaryjny, pułkowy lekarz weterynarii odkomenderował mnie tam.

Kuzyni zaprosili trzech oficerów szwadronu na kwaterę, ja także zamieszkałem u nich. Częste kontakty z oficerami na prywatnym gruncie miały swoje dobre strony. Pracy miałem niewiele, opatrywałem drobne skaleczenia i leczyłem rzadkie kolki, raz w tygodniu składałem szefowi ambulansu raport.

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem zaczęto wydawać dwutygodniowe przepustki. W pierwszej grupie „urlopników” znalazłem się ja i kapral Urbański, z którym, po szykanowaniu przez niego w początkowym okresie rekruckim, zaprzyjaźniłem się. Urlop spędziłem w domu. Kuzyn, który we wrześniu schronił się u nas, był zapalonym myśliwym; chciałem mu zrobić przyjemność i umożliwić upolowanie chociażby kilku zajęcy. Mieszkaliśmy w odległości około dwóch kilometrów od Czeremoszu – rzeki granicznej wcześniej z Polską, obecnie ze Związkiem Radzieckim.

Już w drugiej połowie września 1939 roku wprowadzono w strefach przygranicznych stan wyjątkowy i rozmieszczono małe oddziały wojska. Gdyby wykryto, że na takim terenie poluje uchodźca, zarówno on, jak i ja bylibyśmy narażeni na duże nieprzyjemności. Aby tego uniknąć zaprosiłem na polowanie komendanta miejscowego oddziału. Wspomniałem, że jednym z myśliwych będzie uchodźca z Polski nie mający pozwolenia na broń, ani karty łowieckiej i spytałem, czy nie jest to ryzykowne. Usłyszałem pyszałkową odpowiedź: „jako komendant garnizonu gwarantuję wam bezpieczeństwo”. W oznaczonym dniu poszliśmy w pole. Już na pierwszy rzut oka było widoczne, że mój „komendant garnizonu” liczącego chyba 30 ludzi trzyma strzelbę w ręku pierwszy raz w życiu, musieliśmy uważać, by nie upolował kogoś z nas. Dzień był piękny, słoneczny, zajęcy sporo. W ciągu dwóch godzin kuzyn i ja upolowaliśmy pięć zajęcy, porucznik zaś strzelał jak na wojnie, lecz bez rezultatu. Wreszcie udało się mu postrzelić zająca, złapał go i głosem wielkim wołał: „kto ma szczyryk?”. Zapytałem go, do czego potrzebne mu to narzędzie, odpowiedział: „aby dorżnąć zająca!”. Na takie dictum kuzyn spojrział na mnie ponuro i spytał: „komu dałeś strzelbę?!”, odwrócił się i poszedł do domu. Krótco po tym i ja z niefortunnym myśliwym wróciliśmy do domu, gdzie przy winie niezbyt miła po tym incydencie atmosfera rozładowała się. Porucznik był rad z polowania i otrzymanego zająca, kuzyn zaś jeszcze kilkakrotnie polował w czasie mojego urlopu, a także i później.

Po nowym roku wróciłem do Stalineszt, wszyscy „urlopnicy” stawili się w terminie oprócz Urbańskiego. Wachmistrz, wiedząc, że przyjaźnię się z nim, spytał kogoś dnia, czy nie wiem, co może być przyczyną, że jeszcze nie wrócił. Wyjeżdżając na urlop Urbański nic nie mówił mi o swoich planach, nie wiedziałem więc, co sądzić o niedotrzymaniu terminu powrotu. Po trzech tygodniach wachmistrz wezwał mnie do kancelarii i wręczył pocztówkę z francuskim znaczkiem, adresowaną na nasz numer poczty polowej, w której Urbański napisał, że już jest w polskim wojsku. Powiedziałem o tym wachmistrzowi, on zaś ograniczył się jedynie do uwagi,

że korespondowanie z dezercerem, zwłaszcza takim, który uciekł za granicę, nie jest bezpieczne. Na tym sprawa skończyła się.

Minęły lata, pamięć o ówczesnych wydarzeniach zacierała się. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych dostałem z Londynu list z adresem zwrotnym „Urbański”. Świat jest mały. Mój adres zdobył od znanego nam obu Polaka, stale mieszkającego w Rumunii, który odwiedził rodzinę w Anglii. Po kilku latach, przy okazji wizyty u rodziny w Polsce, Urbański odwiedził mnie. Opowiedział szczegółowo o swoich losach po opuszczeniu Rumunii. Główne momenty jego perypetii to: polskie wojsko i walki we Francji, kilkumiesięczna niewola, zwolnienie z obozu jenieckiego z powodu rzekomej gruźlicy, udział we francuskim ruchu oporu, powrót do polskiego wojska i wreszcie demobilizacja. Pozostał w Anglii na stałe, ożenił się z Portugalką, powodzi mu się dobrze, dość często odwiedza Polskę.

Minęła zima, w marcu 1940 roku przerzucano pułk nad granicę sowiecką. Część operacyjna stała nad Dniestrem, drugi rzut pułku stacjonował kilkanaście kilometrów w tyle. Ja powróciłem do ambulansu, w kwietniu było sporo pracy przy kastrowaniu ogierów zarekwirowanych w poprzednim roku. Łącznie zoperowano 150 sztuk.

W kwietniu przybył z koszar Janusz Krzysztofowicz, rodzice jego mieli majątek w Karapczyjowie – miejscowości sąsiadującej z moją wsią rodzinną Baniłowem. Maturę zdał we Lwowie i rozpoczął studia w Polsce. Jego sytuacja wojskowa była podobna do mojej, wiosną 1940 roku rozpoczął służbę jako „kalarasz”, a dzięki znajomościom i odpowiednim „brzęczącym” załącznikom przydzielono go do ambulansu weterynaryjnego. Mieszkaliśmy razem przez pewien czas, wspólnie pełniliśmy służbę w ambulansie i wartowniczą przy magazynach, później nasze drogi rozeszły się. Ja do końca wojny pozostałem w służbie weterynaryjnej, on w 1941 roku został kierowcą motocykla i kurierem w kadrze, w 1942 roku przydzielono go do pułkowego gospodarstwa warzywniczego, wreszcie w 1943 roku odkomenderowano do służby liniowej. Ostatni raz spotkaliśmy się w wojsku w sierpniu 1944 roku, kilka dni przed kapitulacją Rumunii.

W czerwcu 1940 roku sowieci zażądali oddania Besarabii i północnej Bukowiny po Seret, na co Rumunia zgodziła się. Wojsko i władze cywilne miały ewakuować się z oddanych terenów etapami w ciągu trzech dni. Drugi rzut naszego pułku miał ruszyć o świcie 27 czerwca, część operacyjna kilka godzin później. W rozkazie wymar-szu była wzmianka, aby w razie niemożności zabrania dokumentów zniszczyć je. Mimo że czasu na spakowanie akt nie brakowało, wachmistrz (uczestnik pierwszej wojny światowej) zebrał trochę zbędnych papierów i zaczął je palić; zacierał ręce i ogromnie zadowolony krążył wokół ogniska. Spytałem go, dlaczego to robi, odpowiedział: „Patrz, tutaj likwidują się wszystkie nieudokumentowane niedobory magazynowe z 20 lat minionych i jakie powstaną w ciągu 20 lat następnych”.

O świcie 27 czerwca 1940 roku ruszyliśmy w kierunku najbliższego mostu na Prucie (nowej granicy z Sowietami) w Stefanesztach, odległego około 70 kilometrów od dotychczasowego miejsca postoju. Dla mnie rozpoczął się pierwszy w tej wojnie odwrót, później jeszcze dwukrotnie byłem zmuszony już nie cofać się, lecz wręcz uciekać. Marsz, początkowo szybki, stawał się coraz bardziej powolny, na szosie pojawiało się coraz więcej wojska i cywilów. Ewakuowały się władze cywilne, a także sporo stałych mieszkańców. Brak służby kierującej ruchem, zwłaszcza na skrzyżowaniach, gdzie z bocznych dróg wlewało się na szosę coraz więcej kolumn (przeważnie konnych) powodował chaos, utratę łączności i korki. W miarę zbliżania się do Prutu bałagan powiększał się.

Domy żydowskie w mijanych miasteczkach i wsiach były udekorowane czerwonymi chorągwiami. U wejścia do niektórych wiosek budowano powitalne bramy bogato dekorowane zielenią i transparentami. Miejscowa ludność rumuńska była zdezorientowana, część jej, głównie inteligencja: nauczyciele, popi, urzędnicy gminni oraz trochę bogatych chłopów, już wyjechała, inni przygotowywali się do wyjazdu, wielu nie było zdecydowanych, co mają począć.

Jechałem w jednym z wozów ambulansu. Około godziny 16:00 mijiała mnie kolumna licząca 8 parokonnych wozów wyładowanych różnym sprzętem gospodarskim, walizkami, tobołami, pełnymi workami itp., za wozami szły uwiązane konie. Na czele kolumny jechał porucznik, na każdym wozie dwóch uzbrojonych żołnierzy. W poruczniku poznałem znajomego właściciela majątku Kajetana Axentowicza z Teleszówki, wyskoczyłem więc z wozu aby z nim pomówić. Opowiedział, że na pierwszą wieść o oddaniu Besarabii i Bukowiny, którą radio podało rankiem, załadował dobytek na kilka wozów, od szefa miejscowego posterunku żandarmerii dostał dwóch żołnierzy oraz umundurowanie i broń dla kilku fornali. Sam był oficerem rezerwy, ubrał więc mundur i kreował się komendantem własnej kolumny. Jechał do szwagra na prawym brzegu Prutu. W istniejącym bałaganie ewakuacyjnym nikomu nie przeszłoby przez myśl, że wojskowa kolumna wiezie prywatny dobytek. Poprosiłem go, aby jeżeli spotka kogoś z mojej rodziny, powiadomił, że widział mnie w drodze do granicy, że jestem zdrow i przekroczę Prut wieczorem. Później dowiedziałem się, że wiadomość o mnie przekazał memu bratu, była to pierwsza wieść o moich losach, jaka po wkroczeniu sowietów dotarła do mojej rodziny.

Jak wspomniałem, ewakuacja miała przebiegać etapami, a sowievi mieli stopniowo zajmować tereny opuszczane przez Rumunów. W praktyce wyglądało to tak, że prawie przez cały dzień towarzyszyły nam sowieckie samoloty, a gdy po godzinie 20:00 zbliżyliśmy się do Prutu, to po obydwu stronach szosy i przy wejściu na most stały sowieckie działa, czołgi i wozy pancerne. Sowievi jeszcze nie stawiali przeszkód wojsku i cywilom wchodzącym na most, w następnym jednak dniu, jak mi opowiadano, bywało różnie. Po kilkunastu godzinach marszu znaleźliśmy się na prawym brzegu Prutu.

Po dniu odpoczynku ruszyliśmy do miejscowości koncentracji pułku, nie pamiętam jej nazwy. Dotarliśmy tam po trzech dniach marszu, zajęliśmy kwatery dla nas i dla mającej wkrótce nadejść części operacyjnej. Po dalszych dwóch dniach zaczęły nadchodzić mniej lub bardziej zwarte grupy żołnierzy liniowych, niektóre rozbrojone przez sowietów, wszystkie zaś zdemoralizowane.

Pojedynczy maruderzy, korzystając z ogólnego bałaganu załatwiali różne swoje sprawy i zgłaszali się do jednostki jeszcze w ciągu kilkunastu dni. Koledzy z części operacyjnej opowiadali, że żołnierze narodowości żydowskiej jeszcze na pozycjach powiewali czerwonymi chorągiewkami, żaden z nich nie wrócił. Na oddanych terenach pozostała także większość zamieszkałych tam Ukraińców, których było w pułku stosunkowo dużo oraz kilkudziesięciu Rumunów. Wszyscy zatrzymali konie i broń.

Rozpoczęła się wojna papierowa: sporządzanie protokołów strat, coraz to dziwniejszych zestawień i zapotrzebowań na najrozmaitsze materiały itp. Pułk miano w przyszłości zmotoryzować, zaczęto więc przekazywać konie innym jednostkom.

W połowie lipca 1940 roku nadszedł rozkaz pozwalający zwalniać żołnierzy stale zamieszkałych na terenach oddanych, którzy chcieliby powrócić do domów. Po licznych dezercjach w czasie wycofywania się i zwolnieniu tych, którzy skorzystali z tego rozkazu, pozostało w pułku około 40 żołnierzy pochodzących z tamtych terenów, wśród nich czterech Polaków, dwóch Niemców i trzech Ukraińców.

Pułkownik, który objął pułk po śmierci poprzedniego dowódcy w jesieni 1938 roku, nie cieszył się sympatią oficerów, a po odwrócie z Besarabii, w którym, jak mówiono, poniósł z własnej winy dość poważne straty, stracił ich szacunek. W miejscu koncentracji poświęcił on specjalną uwagę żołnierzom stale zamieszkałym w Besarabii i na Bukowinie, którzy nie skorzystali z rozkazu pozwalającego na zwolnienie ich z wojska i powrót do miejsca zamieszkania. Co parę dni zarządzał zbiórkę tej grupy i zawsze z towarzyszącym orszakiem oficerów przemawiał do nas wymyślając od bolszewików, bandytów i zdrajców. Kończyło się to pokrzykiwaniem, że zostaliśmy tylko dlatego, aby prowadzić w wojsku propagandę komunistyczną; całe przemówienie było oczywiście gęsto przetykane wojskową „łaciną”. Chyba przy czwartej takiej zbiórce wprowadził urozmaicenie do zwykłej serii przekleństw i zaczął wypytywać żołnierzy, dlaczego pozostali. Koledzy odpowiadali różnie: a to, że ma rodzinę tu, a to, że chce kontynuować studia, że obawia się prześladowań ze strony Sowietów itp. Ja byłem piąty czy szósty

w szeregu, miałem więc trochę czasu, aby zastanowić się nad odpowiedzią. Zanim nadeszła moja kolej, przypomniałem sobie odpowiedź sławnego z czasu pierwszej wojny światowej Szwejka, kiedy zarzucono mu zdradę najjaśniejszego pana. Gdy padło pytanie: „dlaczego zostałeś ty bolszewiku?” – odpowiedziałem z powagą: „melduję posłusznie, że w 1938 roku przysięgałem, iż nie opuszczę sztandaru pułku ani w czasie pokoju, ani w czasie wojny, uważałem więc, że obowiązkiem moim jest dotrzymanie przysięgi”. Usłyszawszy taką wiernopoddańczą odpowiedź pułkownik przerwał swój występ i odszedł, a towarzyszący mu oficerowie uśmiechali się kpiąco i żywo komentowali moją odpowiedź. Była to ostatnia zbiórka naszej grupy „zdrajców”.

Z początkiem sierpnia 1940 roku nadszedł rozkaz, aby żołnierzy pochodzących z terenów oddanych sowietom odesłać do kadry, gdzie mieli wykonywać prace fizyczne. Nas „zdrajców” i kilku „minoritarów” (mniejszościowców) oraz zbędny po przekazaniu koni sprzęt (wozy, siodła, uprząże itd.) załadowano do kilku wagonów i wysłano do kadry ewakuowanej z Czerniowiec, stacjonującej tymczasowo w miasteczku Miercurea Ciucului w Siedmiogrodzie. Ogromną większość mieszkańców tego miasta stanowili Węgrzy tradycyjnie wrogo nastawieni do Rumunów. Wprawdzie kadra przebywała tam już kilka tygodni, lecz zadbała tylko o siebie, brak było magazynów na sprzęt i kwater dla ludzi przysłanych z części operacyjnej. Miejscowi Węgrzy nie chcieli nawet rozmawiać z przybyszami Rumunami. Kilku Polakom było łatwiej, miejscowi cywile słysząc, że między sobą nie rozmawiamy po rumuńsku i dowiedziawszy się, że jesteśmy Polakami nagle przypomnieli sobie, że znają język rumuński i bez trudu porozumiewali się z nami. Znalezienie kwatery nie przedstawiało teraz trudności, wkrótce miałem ładny pokój i, co było miłą niespodzianką, nawet pościel i czystą bieliznę.

W podobnej sytuacji „językowej” znalazłem się 25 lat później, kiedy, od dawna już obywatel polski, byłem służbowo w Budapeszcie. W instytucie, gdzie odbywałem staż, pracowało dwóch lekarzy weterynarii repatriantów z Siedmiogrodu, dobrze mówiących po rumuńsku. Równocześnie odbywał tam staż Rumun z Bukaresztu. Ze mną repatrianci z Siedmiogrodu rozmawiali po rumuńsku, z Rumunem

porozumiewali się z trudem tylko po francusku i niemiecku. Na moją uwagę, że chyba łatwiej byłoby im rozmawiać z nim w jego ojczystym języku usłyszałem: „z tobą Polakiem chętnie porozumiewamy się po rumuńsku, lecz narzucony nam i z konieczności tylko tolerowany Rumun niech się męczy”. Szowinizm Węgrów i Rumunów i ich wzajemna nienawiść były powszechnie znane.

Pobyt w Miercurea Ciucului był krótki. Kilka dni po przyjeździe dowiedzieliśmy się, że Węgrzy zażądali części Siedmiogrodu, a Bułgarzy Cadrilateru, prowincji przyznanych Rumunii w 1918 roku po pierwszej wojnie światowej. Rumunia osłabiona niedawną utratą Besarabii i części Bukowiny oraz panującym w kraju bałaganem i mając mocno zdeorganizowaną armię nie miała żadnych szans w ewentualnym konflikcie zbrojnym, tym bardziej, że Węgrów i Bułgarów popierali Niemcy, musiała zgodzić się na oddanie żądanych terenów. Miasto Miercurea Ciucului leżało w tej części Siedmiogrodu, którą mieli zająć Węgrzy.

I znowu ewakuacja. Kadre przeniesiono do Murfatlaru, zbędny sprzęt i ludzi do służby wartowniczej załadowano do kilkunastu wagonów i wysłano do Ungheni, obydwie miejscowości leżały w Dobrudży. W grupie wyznaczonej do służby wartowniczej byłem ja i Krzysztofowicz.

Do Ungheni dotarliśmy na początku września 1940 roku. Sprzęt zmagazynowano, ludzi zakwaterowano, rozpoczęła się monotonna służba. Komendantem naszej grupy był wachmistrz, do którego obowiązków należała łączność z kadrą, skąd otrzymywaliśmy zaopatrzenie, oraz nadzór nad kucharzem i organizacja służby wartowniczej.

Zamieszkałem z Krzysztofowiczem, po krótkim czasie dołączył do nas mój daleki kuzyn, Oktawian Romaszkan, przysłany z kadry, w cywilu inżynier agronom po studiach w Wiedniu, w wojsku – podobnie jak my – prosty żołnierz. Wyżywienie było skąpe i niesmaczne, trzeba je było uzupełniać we własnym zakresie. Jednym ze źródeł dodatkowego jedzenia były „panachidy” (stypy pogrzebowe) u miejscowej ludności, która zapraszała nas na nie.

W połowie listopada przeżyliśmy „cutremur” (trzęsienie ziemi). Którejś nocy obudziłem się i po chwili usłyszałem głośny turkot, jak gdyby jakiś ciężki pojazd kołowy lub gąsienicowy jechał po kocich łbach. Równocześnie poczułem jak dom łagodnie nieco wzniosł się falistym ruchem i zaraz opadł na miejsce, wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. Odruchowo przykryłem głowę kocem i mundurem, oczywiście już po wszystkim. Po chwili wyszedłem przed dom, lecz niczego nie widziałem, noc była bardzo ciemna i padał ulewny deszcz, dopiero rankiem zobaczyłem pęknięte mury w kilku domach. Z radia dowiedzieliśmy się, że epicentrum leżało w pobliżu Plojeszt, tam straty były poważne. Znacznie później dowiedziałem się, że jedna ściana w pokoju matki mieszkającej w Buzau, mieście odległym kilkadziesiąt kilometrów od epicentrum, rozsypała się. Po kilku tygodniach byłem w Bukareszcie, gdzie widziałem kilkupiętrowy blok, którego połowa leżała w gruzach, połowa zaś pozostała nieuszkodzona i zamieszkała; w zawałonej części zginęło kilka osób i kilkanaście odniosło rany.

Naszą grupę wartowniczą wymieniono w połowie grudnia 1940 roku, pojechaliśmy do kadry w Murfatlar. Ta bardzo duża wieś, odległa o kilkanaście kilometrów od Konstancy, sławna z winnic i produkcji bardzo dobrego wina, była zamieszkała głównie przez Turków. Opowiadano mi, że po przyjeździe kadry wachmistrz mego szwadronu zainstalował swoje biuro i gospodarstwo pomocnicze w postaci trzech tuczników w gospodarstwie Turka. Nazajutrz przyszło trzech młodzieńców z grzeczną prośbą o usunięcie świń z obejścia. Wyjaśnili, że im świnie nie przeszkadzają, lecz ich stary ojciec, ortodoksyjny mahometanin, ogromnie boleje nad zbezczeszczeniem gospodarstwa przez „nieczyste zwierzęta”. Wachmistrz wiedział, że pułk pozostanie w Murfatlar przez długi czas, chcąc zachować dobre stosunki z miejscową ludnością natychmiast kazał przeprowadzić „nieczyste zwierzęta” do sąsiada Rumuna i przeprosił staruszka. Przyczyniło mu to popularności u Turków, z czego płynęły najrozmaitsze korzyści.

Ja miałem okazję stwierdzić, że młodzi nie przestrzegali Koranu. Któregoś dnia spotkałem synów ortodoksyjnego gospodarza w gospodzie zjadających ze smakiem wieprzowe kotlety i popijających wino. W restauracji tej widziałem także żołnierzy niemieckiej jednostki świeżo przybytej z wygłodzonego Vaterlandu, jak żarłocznie zjadali po 3-4 kotlety. W Bukareszcie miałem okazję zobaczyć umundurowanych Niemców, którzy na raz zjadali po 8-10 ciastek.

Po kilku beczynnie spędzonych dniach dostałem miesięczny urlop.

Po powrocie z urlopu przeniesiono mnie do ósmego pułku Rosziorów w Botoszanach. Do tej jednostki przeniesiono także Krzysztofowicza i Romaszkanę oraz kilku innych żołnierzy. W Botoszanach zgłosiłem się na początku lutego 1941 roku. Część operacyjna pułku od kilku miesięcy stacjonowała w terenie, w koszarach było tylko dwóch oficerów i kilku podoficerów, którzy przyjmowali zgłaszających się rezerwistów i kierowali ich do miejsca postoju jednostki. Mnie wysłano do miasteczka Targu Frumos, gdzie wkrótce przybył także Krzysztofowicz, przez parę tygodni pełniliśmy tam służbę wartowniczą. Z końcem lutego dostałem trzymiesięczny urlop.

Po powrocie z urlopu skierowano mnie do miejscowości Beresztii gdzie stała kadra pułku; byli tam już Krzysztofowicz i Romaszkan. Jako że w książeczce wojskowej miałem wpisana specjalność sanitariusz weterynaryjny, powierzono mi opiekę nad kilkunastoma końmi kadry, nie miałem z tym wiele pracy. Koledzy pełnili służbę wartowniczą i także nie przemęczali się. Mieliśmy w bród wolnego czasu, życie byłoby przyjemne, gdyby nie chroniczny brak pieniędzy.

Od pierwszych dni służby w Beresztach stosunki z przełożonymi układały się bardzo dobrze. Ja i Krzysztofowicz zaprzyjaźniliśmy się z podoficerami z biura mobilizacyjnego, szczególnie z jednym o nazwisku Ghi (czyt. Gica), co już w niedalekiej przyszłości okazało się niezwykle korzystne. Dzięki niemu długo udawało się nam unikać odkomenderowania do części operacyjnej, na co żaden z nas nie miał najmniejszej ochoty.

Kiedy pod koniec maja 1941 roku zgłosiłem się po urlopie w Botoszanach widziałem, że nie tylko koszary Rosziorów, lecz także innych jednostek są pełne wojska. Opowiadano mi, że jednostki przybywające z głębi kraju po kilkudniowym odpoczynku odchodzą w kierunku granicy sowieckiej. Po przyjeździe do Bereshti dowiedziałem się, że coraz więcej wojska gromadzi się na granicy. Wiadomości (zawsze ściśle tajne) z komendy piątej dywizji kawalerii, do której należał nasz pułk, mówiły o bliskim wybuchu wojny z sowietami.

Żołnierze przebywający od dłuższego czasu w Beresztach opowiadali mi, że w niedziele wszyscy wolni od służby robili, co im się podobało. Blisko mieszkający urywali się do domów bez przepustek, inni szukali rozrywek w pobliskim Bacau lub sąsiednich wsiach.

Wbrew dotychczasowym zwyczajom w niedzielę 22 czerwca 1941 roku rankiem otrąbiono zbiórkę, wszyscy wolni od służby mieli zebrać się o godzinie 9:00. Jak zwykle w wojsku już godzinę wcześniej staliśmy w szeregu, oczekując przybycia naszych wodzów. Około godziny 10:00 nadszedł komendant z oficerami i podoficerami, odebrał raport i odczytał rozkaz o wybuchu wojny ze Związkiem Radzieckim. Następnie wysłuchaliśmy transmitowanego przez radio orędzia króla Michała, mniej więcej takiej treści: „nasze bohaterskie wojska, wspomagane przez niemieckich sojuszników, dziś wczesnym rankiem przekroczyły granicę z sowietami. Toczą się walki o wyzwolenie ziem zdradziecko zrabowanych w ubiegłym roku. Nieprzyjaciel cofa się na całym froncie, zwycięstwo będzie nasze”. Później usłyszeliśmy z głośników dźwięki dzwonów, jak zapowiedział spiker z kiszyniowskiej katedry. Wielu słuchających sądziło, że jest to bezpośrednia transmisja z katedry, co oznaczałoby, że Kiszyniów zajęto, okazało się jednak, że była to transmisja z płyt ze studia w Bukareszcie; w tym dniu jeszcze kilkakrotnie słyszeliśmy te dzwony.

Na początku lipca „plutonier” Ghi z biura mobilizacyjnego poinformował mnie o rozkazie dowództwa sił zbrojnych, że pełniący aktualnie służbę studenci trzeciego roku i wyższych lat medycyny, weterynarii, farmacji i niektórych wydziałów politechniki mają być w czasie wojny asymilowani do stopnia „plutonier” – odpowiednik polskiego stopnia sierżant. Związane z tym formalności mają

załatwiać komendy dywizji na wniosek jednostki, w której kandydat służy.

Sprawa ta wymaga pewnych wyjaśnień. W Rumunii losy jednoroczników były zróżnicowane. Po wcieleniu część ich kierowano do podchorążówek, skąd wracali do jednostki i później odchodzili do cywila w stopniu „plutonier T.R.” (odpowiednik polskiego stopnia sierżant podchorąży), a po pewnym czasie awansowali do stopnia podporucznika i wyższych. Jednorocznicy pozostali w jednostce pełnili przez rok zwykłą służbę i mogli awansować najwyżej do stopnia „sergent” (odpowiednik polskiego stopnia plutonowy). Takich było znacznie więcej niż kończących podchorążówki. Gdy wybuchła wojna, wielu zmobilizowanych jednorocznych „sergentów” – fachowców z różnych dziedzin, pełniło służbę liniową, podczas gdy etaty oficerskie wymagające fachowej wiedzy pozostawały nieobsadzone. Wspomniany rozkaz o asymilacji słuchaczy wyższych lat studiów do stopnia „plutoniera” miał na celu właściwe wykorzystanie ich wiedzy.

Ghiță, informując mnie o tym rozkazie, zażądał, abym dostarczył zaświadczenie o studiach, a biuro mobilizacyjne wystąpi do komendy dywizji z wnioskiem o asymilowanie mnie do stopnia „plutoniera”. Odpowiedziałem, że nie wydaje mi się prawdopodobne, aby taki wniosek w odniesieniu do mnie dał pozytywny wynik. Rozkaz odnosi się chyba tylko do studentów uczelni rumuńskich, ja zaś jestem słuchaczem polskiej uczelni, nie ma więc sensu rozpoczynać akcji nie mającej widoków na powodzenie. Po dokładnym przestudiowaniu rozkazu Ghiță oświadczył, że jest w nim mowa wyłącznie o specjalnościach, których słuchaczy należy asymilować, nie ma tam żadnej wzmianki, która przemawiałaby za tym, że chodzi wyłącznie o studentów uczelni rumuńskich. Polecił mi dostarczyć zaświadczenie i obiecał załatwić awans, wspominał także, że będzie to wymagało pewnych kosztów. Przypadkowo miałem przy sobie uwierzytelnione tłumaczenie zaświadczenia, że jestem studentem czwartego roku Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, dałem mu je i nie wierząc w możliwości awansu zapomniałem o całej sprawie.

Po dwóch tygodniach Ghiță oznajmił mi, że właśnie jedzie do komendy dywizji po rozkaz o moim awansie i zażądał pieniędzy na 5 butelek rumu, które były głównym motorem załatwienia awansu. Na zakup rumu potrzeba było 600 lei, kwota ta była śmiesznie mała w stosunku do korzyści płynących z awansu. Niestety nie miałem pieniędzy i nie miałem od kogo pożyczyć. Powiedziałem o tym Ghicie, on zaś wspaniałomyślnie oświadczył, że wyłoży swoje pieniądze i rozliczymy się później. Wrócił z Bacau późną nocą, jak mi mówiono pod dobrą datą. Kazał ukradkiem przynieść mój mundur i naszyć na nim „belki”. Rankiem wyszedłem z kwatery jako świeżo upieczony „plutonier”. Nie pierwszy raz okazało się, że w Rumunii, jak mówi przysłowie, tylko mostu przez Morze Czarne nie można zbudować, wszystko inne jest możliwe. Wbrew moim przewidywaniom awansowałem, w dodatku, jak można powiedzieć, na kredyt.

Pierwsze kroki „plutoniera” skierowałem do Ghity, aby podziękować. Pokazał mi rozkaz awansu ze starszeństwem od pierwszego czerwca, co oznaczało, że dostanę pobory także za ubiegły miesiąc. Przygotował pismo do działu finansowego, aby wciągnięto mnie na listę płacy. Normalną drogą służbową pismo dotarłoby tam po kilku dniach, w ramach kumoterstwa sam je dostarczyłem. Kasjer rozumiejąc potrzebę „wkupienia się do cechu” dał zaliczkę, co pozwoliło mi na urządzenie przyjęcia w tym samym dniu, oczywiście obficie podlanego alkoholem.

Awans dał mi wielorakie korzyści: przede wszystkim jako „plutonier T.R.” zaliczałem się już do kadry oficerskiej, a jako fachowiec pracowałem tylko w służbie weterynaryjnej i nie groziło mi odkomenderowanie do służby liniowej. Pracowałem pod komendą lekarzy weterynarii, przeważnie rezerwistów, często wysokiej klasy specjalistów, zatrudnionych w cywilu na różnych, niekiedy wysokich stanowiskach. Dzięki ich koleżeństwu i życzliwości przyswoiłem sobie wiele wiedzy teoretycznej i praktycznej.

Moje finanse, uchodźcy z Bukowiny i prostego żołnierza, któremu należnego mu żołdu w wysokości kilkunastu lei miesięcznie i tak nie wypłacano, przedstawiały się opłakanie. Awans postawił mnie na nogi, żołd „plutoniera” w czasie wojny wynosił w kraju przeszło 10 000 lei, poczułem się krezusem. Z pierwszych poborów sowicie wynagrodziłem Ghitę za inicjatywę i pomyślne załatwienie sprawy. Regularnie otrzymywany żołd zapewnił mi życie na odpowiednim poziomie i pozwolił na pomoc matce.

Mniej więcej w tym samym czasie kadra otrzymała motocykl z przyczepą do wyjazdów służbowych. Kierowcą i odpowiedzialnym za jego stan został Krzysztofowicz, wykorzystywaliśmy więc pojazd także do prywatnych celów.

Czas mijał na pełnieniu monotonnej służby, grze w karty i popijaniu. Któregoś dnia powiadomiono Romaszkaną, że zostanie wysłany na front, udzielono mu przed tym kilkunastodniowego urlopu. Były możliwości wykręcenia się od tego wątpliwego zaszczytu, on jednak był za bardzo praworządny, aby zastosować jedyną skuteczną metodę działania, to jest wręczyć właściwej osobie odpowiednio wysoką łapówkę. Moje i Krzysztofowicza perswazje i oferta, że jeśli z jakichś powodów nie chce, czy nie może sam się angażować, to my mu załatwimy cofnięcie rozkazu wyjazdu na front, spotkały się z odmową. Tłumaczył, że nie wolno uchylać się od obowiązku obrony kraju, takie postawienie sprawy zamknęło dyskusję. Pojechał na front i nie wrócił, jak wielu innych zginął „bohaterską śmiercią”.

W połowie sierpnia 1941 roku kadra wróciła do Botoszan. Od początku wojny koszary ósmego pułku Rosziorów służyły jako miejsce krótkiego odpoczynku dla wojsk idących na front, prócz rumuńskich zatrzymywały się tam także jednostki niemieckie i włoskie. Miałem okazję przyjrzeć się zachowaniu „sojuszników”. Niemcy przestrzegali porządku i dyscypliny. Włochów nazywano „wesołym wojskiem”. Rozłazili się po mieście, pełno ich było we wszystkich knajpach, zaczepiali kobiety, bili się z cywilami itp. Przez parę dni stali w koszarach włoscy strzelcy alpejscy. Patrole ich wyglądały bardzo malowniczo, podoficer i dwóch żołnierzy mieli na głowach zgrabne tyrolskie kapelusiki ozdobione pęczkiem piór,

na ramionach karabiny lułą do ziemi, w rękach gitara, mandolina i jeszcze jakiś brzęczący instrument. Maszerowali wyśpiewując ludowe piosenki. Budzili powszechną ciekawość, towarzyszyła im zawsze gromada dzieci.

Dowódcą kadry w koszarach był kapitan rezerwy Negru, w czasie pierwszej wojny światowej podoficer i po skróconym kursie podporucznik, po wojnie dochrapał się stopnia kapitana i przeszedł na emeryturę. Obecnie zmobilizowany, typowy zupak, wyżywał się na podkomendnych. Nie istniało dla niego nic poza regulaminem, rozkazem i dyscypliną, jakakolwiek logika i rozumowanie były mu całkowicie obce.

Zagospodarowałem się w pomieszczeniu ambulansu. Po kilku dniach zgłosił się w kadrze lekarz weterynarii, kapitan rezerwy, dr Mihai Constantin. Jako student był stypendystą wojskowym i po otrzymaniu dyplomu został oficerem zawodowym. Niezbyt zdyscyplinowany, na skutek zatargów z przełożonymi kilka lat przed wojną zwolniono go z wojska, obecnie zmobilizowany, do czasu wyjazdu na front objął szefostwo ambulansu. Odnosił się do mnie po koleżeńsku, był dobrym fachowcem, na froncie został szefem ambulansu weterynaryjnego piątej dywizji kawalerii.

W Botoszanach mieszkalem z Krzysztofowiczem, obsługiwany przez niego motocykl stał na podwórzu naszej kwatery. Wieczorami często wyjeżdżaliśmy obaj z moim szefem motocyklem do oddalonego o kilkanaście kilometrów od miasta majątku dwóch sióstr w średnim wieku, zapalonych pokerzystek. Przyjmowano nas bardzo wytwornie, zawsze było dobre jedzenie i wino. Po kolacji zasiadaliśmy do pokera, po kilkugodzinnej grze zawsze któryś z nas wygrywał.

Dr Mihai wkrótce pojechał na front. Po jego wyjeździe nie było w Botoszanach wojskowego lekarza weterynarii, opiekowałem się końmi kadry i kilkunastu wołami gospodarstwa pomocniczego oraz kilkudziesięciu końmi w dwóch innych jednostkach.

Moje stosunki z komendantem kadry kapitanem Negru od początku układały się niezbyt dobrze. Dla tego stupajki istniały tylko stopnie, jako że byłem tylko „plutonierem”, uważał, że ma prawo ingerować nawet w sprawy fachowe. Którejś nocy wezwano mnie do chorego woła w gospodarstwie pomocniczym odległym kilkanaście

kilometrów od miasta, zanim przyjechałem, wół padł. Przeprowadziłem sekcję, zmiany anatomopatologiczne przemawiały za wąglikiem, kazałem więc zwłoki zasypać wapnem w głębokim dole i przeprowadzić dokładną dezynfekcję obory. Wyniki badań laboratoryjnych potwierdziły moje rozpoznanie. Złożyłem pisemny raport o padnięciu woła z załączonym protokołem sekcji i wynikami badań laboratoryjnych. Po 2 dniach kapitan Negru wezwał mnie i zapytał, gdzie jest pokwitowanie za skórę, którą należało oddać w punkcie skupu. Wyjaśniłem, że w przypadku wąglika zwłoki zakopuje się ze skórą, na co Negru powiedział, że ściągnie mi z żołądu należność za skórę i wpisze do akt naganę za jej zniszczenie. Tłumaczyłem, że postąpiłem zgodnie z przepisami, lecz bez skutku. Wykrzykiwał, że nie jestem lekarzem tylko studentem, nie znam przepisów i postąpiłem samowolnie. Z trudem zgodził się wysłuchać opinii powiatowego lekarza weterynarii. Udałem się do lekarza powiatowego, opowiedziałem o tej głupiej sprawie i poprosiłem o pomoc. Nie zdziwiła go ta historia, gdyż Negru był znany w Botoszanych ze swej głupoty. Poszliśmy do koszar, powiatowy odczytał kapitanowi przepisy obowiązujące w przypadku wąglika i z trudem udało mu się wytłumaczyć, że postąpiłem zgodnie z obowiązującymi przepisami.

Do sporu z nim doszło także w czasie rekwizycji koni, kiedy zwolniłem żrebną klacz, co było zgodne z regulaminem. Negru wiedział o tym, lecz nie wierzył w moje rozpoznanie, ustąpił dopiero kiedy cywilny lekarz członek komisji rekwizycyjnej poparł mnie.

Któregoś dnia w drugiej dekadzie września 1941 roku zostałem wezwany przez kapitana. Gdy zameldowałem się, wskazał dwóch szeregowców jednoroczników, czekających na korytarzu, i jako że byli to lekarze weterynarii, oddał ich pod moją komendę. Próbowiałem tłumaczyć, że ja student nie mogę być przełożonym lekarzy. Mój sprzeciw rozjątrzył go jak zwykle, krzyknął: „to jest rozkaz i masz go wykonać, wynoś się do diabła!”, nie obeszło się przy tym bez soczystej wojskowej „łaciny”.

Wyszedłem z moimi „podkomendnymi”, w pomieszczeniu ambulansu przy przekąsce i winie potoczyła się rozmowa na interesujące nas tematy. Powiedziałem, aby nie brali poważnie rozkazu kapitana, że nie ma mowy o żadnym „komenderowaniu” i zależności służbowej. Opowiedziałem o stosunkach w kadrze, tępcie kapitana i niechęci, jaką budzi swoimi wyczynami. Oni z kolei opowiedzieli o sobie, dyplomy dostali przed kilku tygodniami, w jakiejś jednostce w Bukareszcie zostali umundurowani i wysłano ich do naszego pułku. Przed zameldowaniem się u kapitana dowiedzieli się w biurze mobilizacyjnym, że zostaną w kadrze kilka, najwyżej kilkanaście dni, po czym pojadą na front. W tej sytuacji powiedziałem im, aby nie zawracali sobie głowy koszarami i korzystali z ostatnich dni wolności. Prosiłem tylko, aby co dzień kontaktowali się ze mną telefonicznie w sprawie terminu wyjazdu. Po kilku dniach wyjechali na front do sztabu piątej dywizji kawalerii. Po roku i mnie spotkał „zaszczyt” służby na froncie. Obydwa moi byli „podkomendni” byli już podporucznikami. Jeden z nich, dr Lungu, został w swoim czasie szefem dywizyjnego ambulansu weterynaryjnego i moim przełożonym.

Negru próbował także zrobić mnie w zwykłą służbę koszarową: podoficera służbowego, komendanta warty itp. Chociaż z trudem, udało mi się uniknąć zakusów na moją swobodę.

W ambulansie było niewiele pracy. Którejś nocy wezwano mnie do koszar, gdzie zastałem dwa najlepsze konie ciężko chore. Jeden stał bez ruchu i postękiwał, z nozdrzy wypływały mu napęczniałe ziarna jęczmienia. Sytuacja była beznadziejna, wypływ treści z nozdrzy występuje w przypadku pęknięcia żołądka. Zająłem się drugim koniem, którego stan był bardzo ciężki, postękiwał, oglądał się na boki, był niespokojny, pocił się, nagle padał; były to objawy typowe dla ciężkiej kolki. Zastosowałem odpowiednie leki, lecz bez skutku, po pewnym czasie i u tego konia pojawił się wypływ z nozdrzy. Obydwa konie w krótkim odstępie czasu padły.

Od służbowego podoficera dowiedziałem się, że para padłych koni wozila od południa do wieczora jęczmień ze stacji kolejowej do magazynu w koszarach. Żołnierz opiekujący się końmi zeznał, że zarówno na stacji podczas ładowania, jak i w koszarach w czasie wyładunku korzystał z okazji i karmił je bez ograniczenia jęczmieniem. Zeznania żołnierza spisałem, podoficerowi kazałem sporządzić raport. Rankiem wywieziono zwłoki na grzebowisko. Zameldowałem komendantowi o wypadku i, chcąc uniknąć ewentualnych późniejszych sporów na temat stwierdzonych zmian, poprosiłem, aby był obecny podczas sekcji, na co skwapliwie zgodził się. Po otwarciu powłok brzusznych stwierdziłem u obydwu koni pęknięcie żołądka wzdłuż dużej krzywizny. Powiększone żołądki były wypełnione wyłącznie napęczniałym jęczmieniem. Duża ilość ziaren znajdowała się poza żołądkiem między pętlami jelit, mniej w przetyku i nozdrzach. Obydwa konie były bardzo dobrze utrzymane, z około 50 kilogramów zebranego łoju mój sanitariusz zgotował doskonałe mydło do prania.

Moim obowiązkiem było stwierdzenie, co było przyczyną śmierci i sporządzenie protokołu sekcji. Na tym jednak sprawa nie kończyła się, jak zwykle w takich okolicznościach trzeba było znaleźć winnego. Sprawa była jasna, bez wątplenia winien był żołnierz, który w dobrej wierze przekarmił konie jęczmieniem. Można też było uznać, że przynajmniej w pewnej mierze ponosił winę także służbowy podoficer, który był obecny przy ładowaniu i wyładowywaniu ziarna i powinien był zabronić żołnierzowi karmienia koni. Chociaż odpowiedź na pytanie „kto winien” była jasna, przesłuchania uczestników wydarzenia trwały długi czas.

Pod koniec września nadszedł rozkaz zwolnienia do cywila wszystkich żołnierzy stale zamieszkałych w Besarabii i na Bukowinie, którzy w 1940 roku pozostali w wojsku. Mnie udzielono tylko kilkudniowego urlopu i obiecano zwolnić w listopadzie, kiedy miał stawić się w pułku powołany z cywila lekarz weterynarii.

W połowie października nadszedł rozkaz, by przygotować koszary na przyjęcie szpitala weterynaryjnego ze strefy przyfrontowej, liczącego około 1200 koni. Kadra pułku miała zaopatrywać szpital w paszę i żywność dla obsługi do czasu jego rozwiązania. Lekarze weterynarii przybyli ze szpitalem mieli być stopniowo wymieniani w ciągu 2 tygodni przez powołanych z rezerwy.

Komuś, kto nie znał stosunków w armii rumuńskiej, historia tego szpitala wyda się zmyślona, jest ona jednak prawdziwa i dowodzi bałaganu panującego w tamtejszym wojsku.

W oznaczonym terminie przywieziono kolejną około 1100 koni w oplakany stan, wszystkie wychudzone i osłabione transportem. Kilkadziesiąt było tak wyniszczonych, że już na pierwszy rzut oka nie rokowały nadziei powrotu do zdrowia. Do czasu przybycia szpitala nie zdążono zakupić pasz potrzebnych przynajmniej na pierwsze dni.

Pierwsze trzy dni konie szpitalne stały przy pustych żłobach, podawano im tylko słomę i wodę; w krótkim czasie padło około 50 sztuk. Wprawdzie później sytuacja nieco się poprawiła, ale bywały okresy braku pasz, zwłaszcza treściwych.

Znowu wezwał mnie Negru. Zastałem u niego majora lekarza weterynarii, szefa szpitala, który pokazał rozkaz całkowicie odmienny od otrzymanego przez kadrę. Według jego rozkazu opiekę nad szpitalem miano przekazać w ciągu 48 godzin lekarzowi pułkowemu, który miał ją pełnić do czasu przybycia nowej ekipy lekarzy weterynarii, co miało nastąpić w ciągu dwóch tygodni. Lekarze przybyli ze szpitalem mieli niezwłocznie powrócić do jednostek macierzystych. Jednym słowem: dla mnie katastrofa.

Kapitan Negru, jako że rozkaz pokazał major, przyjął jego treść bez dyskusji i z kolei mnie dał rozkaz, abym natychmiast przejął szpital. Usłyszawszy rozkaz powiedziałem majorowi i przypomniałem kapitanowi, że jestem tylko studentem i przy najlepszych chęciach nie będę mógł zapewnić właściwej opieki przeszło tysiącu chorych koni, których leczeniem zajmowało się dotychczas sześciu lekarzy. Prosiłem, aby w szpitalu pozostał chociaż jeden lekarz do czasu przybycia pierwszego z nowej ekipy. Moją wypowiedź Negru skwitował zwykłą swoją śpiewką: „to jest rozkaz i masz go wykonać bez dyskusji”. Zdając sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka będzie

na mnie ciążyć po przejściu szpitala, zastrzegłem się, że złożę w tej sprawie pisemny raport. Dopiero rozpętało się piekło, Negru oszalał, ryknął: „milcz i wykonaj rozkaz!”. Dalej krzyczał, że od dawna wykazują brak subordynacji, że wpisze mi naganę do akt itd., wszystko to obficie okraszone koszarową „łaciną”. Obecny przy tym szef szpitala, major, oficer zawodowy próbował, zresztą bez powodzenia, uspokoić kapitana. Widząc, co się dzieje, zrezygnowałem z próby załatwienia sprawy w możliwie najlepszy do przyjęcia sposób, odmeldowałem się i wyszedłem.

W następnym dniu major przekazał mi szpital, dokumentację i trochę leków. Lekarze rozjechali się, pozostał jedynie liniowy „plutonier mażor” (sierżant sztabowy), zawiadujący żołnierzami szpitala. Moja działalność ograniczała się do codziennego przeglądu koni, dobijania będących w agonii, wykonywania sekcji i pisania protokółów. Ogółem w okresie mojego „szefostwa” padło i dobito przeszło sto koni. Po tygodniu zjawił się pierwszy lekarz weterynarii z nowej ekipy, w następnych dniach przybyło jeszcze czterech lekarzy. Z radością przekazałem im cały ten kram i odetchnąłem.

Którś dnia z końcem października 1941 roku pojawił się w moim koszarowym pomieszczeniu kapitan dr Eftimescu, dawniej lekarz weterynarii ósmego pułku Rosziorów, obecnie szef służby weterynaryjnej piątej dywizji kawalerii na froncie. Przyjechał na kilkudniowy urlop i naturalnie odwiedził macierzyste koszary. Przychodził co dzień, przypatrywał się mojej pracy, dużo rozmawiał na tematy fachowe, wypytywał o moje studia. Opowiedziałem o sporach z kapitanem Negru i o szpitalu, wysłuchał tego bez komentarzy. Odnosił się do mnie po koleżeńsku. Rozstaliśmy się, on wrócił na front, ja wkrótce odszedłem do cywila. Nie zapomniał jednak o mnie, o czym przekonałem się wiosną 1942 roku.

W połowie listopada zwolniono mnie do cywila. W domu dowiedziałem się, że według zarządzeń wydanych wspólnie przez Ministerstwo Spraw Wojskowych i Ministerstwo Rolnictwa plantatorzy buraków cukrowych będą korzystać ze zwolnienia ze służby wojskowej. Oczywiście z miejsca zawarłem umowę z cukrownią i stałem się plantatorem buraków. Nie na wiele się to zdało, już w lutym 1942 roku dostałem wezwanie do wojska. Zgłosiłem się

w pułku i moje nadzieje na rychłe zwolnienie szybko rozwiały się. Wyjaśniono mi, że istotnie jest zarządzenie, na które powoływałem się, lecz nie dotyczy ono fachowców, między innymi lekarzy weterynarii. Tym razem zwolniono mnie po trzech tygodniach i znowu przez jakiś czas byłem cywilem.

W maju ponownie dostałem wezwanie. W biurze mobilizacyjnym pokazano mi pismo dr. Eftimescu (już majora), w którym żądał przysłania mnie na front. Z podoficerami biura mobilizacyjnego byłem tak zaprzyjaźniony, że mogłem rozmawiać szczerze. Spytałem, czy chociaż jest to wezwanie imienne, nie dałoby się coś wykombinować, aby uniknąć wyjazdu, obiecali zastanowić się do jutra. Nazajutrz spotkaliśmy się w knajpie i pokazali mi odpowiedź na pismo majora. Treść pisma świadczyła o dużej pomysłowości i doświadczeniu w załatwianiu tego rodzaju spraw. W elaboracie tym napisano: „plutonier T.R. Michał Bohosiewicz jest Polakiem wrogo nastawionym do Niemców, głośno wypowiada się, że Niemcy, a z nimi Rumuni przegrają wojnę. Wprawdzie w 1940 roku pozostał w wojsku, lecz nie można mieć do niego zaufania. Jest podejrzany politycznie i może wpływać ujemnie na morale żołnierzy. Wysłanie go na front nie jest wskazane”. Byłem pełen podziwu dla ich pomysłowości, podziękowałem odpowiednio wysokim „załącznikiem”, tego popiliśmy i rozstałem się z nimi na kilka miesięcy.

W listopadzie następne powołanie, tym razem sprawa okazała się beznadziejna. W biurze mobilizacyjnym pokazano mi pismo sztabu generalnego, w którym przeczytałem: „mimo że M. Bohosiewicz jest podejrzanym politycznie Polakiem, ZEZWAŁA się mu, aby wyjechał na front”. W dołączonym piśmie majora Eftimescu, adresowanym do sztabu generalnego oświadcza on, że zna mnie osobiście i bierze na siebie pełną odpowiedzialność za moje zachowanie się na froncie. Najbardziej zezłościło mnie to „zezwolenie” sztabu na mój wyjazd, jak gdybym to ja rwał się na front, lecz kadra wbrew moim chęciom nie chciała się zgodzić na wyjazd. Udało mi się wytargować kilkanaście dni na załatwienie pewnych spraw i przygotowanie ciepłej odzieży, byłem wolny do piątego grudnia. Nie obeszło się oczywiście bez popijawy.

Kiedy w umówionym terminie stawiłem się w pułku, powiedziano mi, że major Eftimescu od kilku dni przebywa na urlopie i polecił, abym po przyjeździe zameldował się u niego. Pamiętając treść odpowiedzi na pierwsze jego pismo obawiałem się trochę tego spotkania, lecz major nie wspomniał o tym ani słowa. Przyjął mnie grzecznie i oświadczył, że pojedziemy na front razem 17 lub 18 grudnia (1942 roku). Do tego czasu pozwolił mi wrócić do domu, tak więc jeszcze na kilka dni mogłem zdjąć mundur.

Zgodnie z zapowiedzią majora wyjechaliśmy na front 17 grudnia rano. Przed wieczorem dojechaliśmy do Dnieprostroju – ogromnej zapory na Dnieprze, wybudowanej w pierwszych latach istnienia Związku Radzieckiego, częściowo zniszczonej przez wycofujące się wojska sowieckie. Przeszliśmy ją i dalej pociągami w południe 18 grudnia dojechaliśmy do dużej stacji Razdielnaja, gdzie jadący na różne odcinki frontu oczekiwali na dalsze połączenia. Oficerowie korzystali z ogrzewanych pomieszczeń, oddzielnych dla Rumunów, Niemców i innych narodowości. W świetlicy dla Rumunów przy radiodbiorniku jednego z powracających „urlopników” grupa oficerów słuchała komunikatów o sytuacji na frontach, nadawanych przez stacje angielskie i sowieckie. Było to już po wcześniejszym pierwszym przerwaniu frontu na południe od Stalingradu, gdzie duże odcinki były obsadzone przez jednostki rumuńskie. Nastroje słuchających były raczej minorowe, ich wypowiedzi trudno byłoby uznać za wiernopoddańcze.

Po kilkunastu godzinach oczekiwania wyjechaliśmy w nocy w kierunku Rostowa, im dalej na wschód, tym więcej lokomotyw i rozbitych wagonów leżało wzdłuż torów. Do Rostowa przyjechaliśmy około godziny 2:00 w dniu 20 grudnia. Rano major udał się do komendy etapów dowiedzieć się o aktualnym miejscu postoju drugiego rzutu piątej dywizji kawalerii i możliwości dojazdu. Byłem wolny do południa, kiedy to mieliśmy się spotkać w kantine etapów. Poszedłem obejrzeć miasto. Niektóre domy były całkowicie zniszczone, inne mniej. Tylko budynki zajęte przez wojsko były jako tako wyremontowane. Inne częściowo zrujnowane, pozbawione okien, drzwi, z dziurami w ścianach zamieszkiwali nieliczni cywile. Ruch wojsk był duży, największej oddziałów niemieckich i rumuńskich,

mniej Włochów i Węgrów, spotkałem także pojedynczych wojskowych Francuzów i Słowaków.

Po kilku tygodniach dowiedziałem się przypadkowo, że w dniu naszego przyjazdu do Rostowa, miejscowa rumuńska komenda etapów już zatrzymywała pojedynczych wojskowych udających się na front. Gdybym sam poszedł do komendy, to pewnie zostałem w Rostowie i dalsze moje losy potoczyłyby się inaczej.

W komendzie etapów poinformowano majora, że drugi rzut komendy piątej dywizji kawalerii stacjonuje w Salskich Stepach w miejscowości Proletarskaja. Major spotkał znajomego oficera, z którym w tym samym dniu odjechał do miejsca postoju drugiego rzutu dywizji. Ja wyjechałem w południe 21 grudnia w jednej z ciężarówek kolumny wiozącej amunicję dla piątej dywizji. Droga w porównaniu z wiosną i jesienią, jak mówili szoferzy, była bardzo dobra, bo zamrznięta. Widać było wzdłuż niej skutki bombardowań: głębokie leje, zwały zamrzniętej ziemi i doły z zamrzniętą wodą. Do wieczora ujechaliśmy około 40 kilometrów, przenocowaliśmy w częściowo rozbitym młynie. Co jakiś czas budziły mnie bliższe i dalsze detonacje, były to dla mnie pierwsze głosy frontu. O świcie ruszyliśmy w dalszą drogę, do celu dotarłem w południe 22 grudnia.

Zameldowałem się majorowi. Powiedział, że zatrzyma mnie na kilka dni, abym doprowadził do porządku kancelarię, później przejdę do dywizyjnego ambulansu. Poszedłem z podoficerem sanitarnym do kwatery, będącej równocześnie „kancelarią”, składającą się ze skrzyni z aktami, maszyny do pisania, trzech pieczętek i polowego łóżka. Gnieździł się w tym pomieszczeniu we trójkę, było ciasno, ale znośnie; w podobnych izbach kwatrowało niekiedy 10-15 ludzi. Z drogi pozostało mi trochę domowych wędlin i wina, wkupiłem się więc jak wymagał zwyczaj do „cechu”. Zaczęła się moja bohaterska służba na froncie, lecz nie trwała zbyt długo bo tylko 3 dni. W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 25 grudnia 1942 roku rozpoczął się odwrót, dla mnie już drugi, a biorąc pod uwagę przymusową ewakuację w Miercurea Ciucului w jesieni 1940 roku – trzeci.

Matka Romaszkana dowiedziawszy się, że jadę na ten odcinek frontu, na którym i on pełni służbę, dała mi dla niego list, aparat fotograficzny i trochę domowych słodyczy. W dniu przyjazdu dowiedziałem się, że jest on tłumaczem w sztabie pierwszego rzutu dywizji, udało mi się, powiadomiłem go telefonicznie, że mam dla niego przesyłkę. Przyjechał następnego dnia w południe (23 grudnia). Opowiedziałem mu o wspólnych znajomych w cywilu i kadrze. On zasłaniając się tajemnicą służbową niewiele mówił o sobie. Dopiero później dowiedziałem się, że jako tłumacz nie ograniczał się tylko do służbowych kontaktów z Niemcami, lecz utrzymywał z nimi także stosunki towarzyskie. Namawiałem go, aby został na wigilię i pierwszy dzień świąt, lecz bez skutku. Tłumaczył się, że musi wracać, bo już dawniej umówił się z przyjaciółmi na wspólne spędzenie świąt i nie może zrobić im zawodu. Wyjechał po kilku godzinach. Wtedy widziałem go po raz ostatni.

Po paru dniach dowiedziałem się, że rankiem 25 grudnia 1942 roku poszedł do Niemców i tam zastał go sowiecki atak. Znajomy żołnierz, który uratował się z masakry frontowej, opowiedział mi, że uciekając przed sowieckimi czołgami widział Romaszkana w grupie uciekających Niemców, a po chwili ujrzał, że najechał na niego sowiecki czołg. Nie zostało to potwierdzone oficjalnie, Romaszkana uznano za zaginionego. Niewątpliwie zginął w czasie ataku sowieców, czy jednak opowieść żołnierza odpowiadała prawdzie? Faktem jest, że późniejsze długotrwałe poszukiwania przez Czerwony Krzyż były bezowocne. Może uniknąłby śmierci, gdyby rankiem w dniu przerwania frontu nie poszedł do swych niemieckich przyjaciół.

Nazajutrz po przyjeździe 23 grudnia zgłosiłem się w biurze mobilizacyjnym dywizji, ono z kolei poleciło działowi finansowemu, aby wpisał mnie na listę żołdu. Obiecano załatwić tę sprawę po świątach, lecz z powodu nagłego przerwania frontu w dniu 25 grudnia i długo trwającego odwrotu nie zrobiono tego, a później po prostu zapomniano. Miało to ten skutek, że w ciągu kilkumiesięcznego pobytu w strefie operacyjnej figurowałem w ewidencji biura mobilizacyjnego, lecz żołdu nie wyplacano mi. Nie potrzebując

pieniędzy nie interweniowałem, a jak się w swoim czasie okazało, cały ten bałagan był dla mnie bardzo korzystny.

W pierwszy dzień świąt, tj. 25 grudnia 1942 roku major Eftimescu wysłał mnie do ambulansu z rozkazem, aby szef przeprowadził w następnym dniu przegląd koni jednej z jednostek, ja miałem mu towarzyszyć. Ruszyłem w południe do widocznej w odległości około trzech kilometrów małej osady, gdzie stacjonował ambulans, szedłem na przełaj stepem. W pewnym momencie ujrzałem nadlatujący na niskim pułapie samolot. Położyłem się w suchych burzanach i po chwili zobaczyłem wytryskujące obok mnie obłoczki kurzu z zamrzniętej ziemi. Samolot przeleciał nisko nade mną, zatoczył koło i historia powtórzyła się. Dopiero wtedy zorientowałem się, że pilot zapolował na samotnego piechura. To pierwsze bezpośrednie zetknięcie z „nieprzyjacielem” skończyło się dla mnie pomyślnie.

Krótko po tej przygodzie wszedłem do osady. Zameldowałem się szefowi ambulansu, był nim kapitan dr Mihai Constantin, którego poznałem w lecie 1941 roku, kiedy przed wyjazdem na front przebywał krótki czas w Botoszanach. Rozmawialiśmy oczywiście na tematy wojskowe, gdy opowiedziałem, w jaki sposób Eftimescu ściągnął mnie na front, usłyszałem, że takie postępowanie jest typowe dla naszego szefa. Jest on na pozór bardzo układny i koleżeński, lecz w stosunkach z nim trzeba zachować dużą ostrożność. Zastosowałem się w przyszłości do tej rady i nie wyszedłem na tym źle.

Około godziny 14:00 usłyszeliśmy od wschodu dalekie detonacje, które w krótkim czasie zwały się w nieustanny, chwilami nasilający się, głuchy huk. Na spokojnym od kilku tygodni froncie zaczęło się coś dziać, silny ostrzał artyleryjski mógł być przygotowaniem do sowieckiego ataku. Na wszelki wypadek, gdyby trzeba było zmienić miejsce postoju, kapitan kazał przygotować ambulans do wymarszu.

Dywizyjny ambulans weterynaryjny oficjalnie dysponował czterema standartowymi furgonami parokonnymi z zaprzęgami i czterema końmi rezerwy. Prócz materiałów sanitarnych miał w swoim wyposażeniu małą kuźnię polową, 200 podków i potrzebne do nich podkowiaki, kilkadziesiąt koców dla ludzi i koni, kilka rezerwowych sort mundurowych i uprzęży, liny do polowych stanowisk dla koni, siekiery, piły, łopaty, wiadra, torby obroczone i inne potrzebne przedmioty.

Według planów mobilizacyjnych personel ambulansu miał składać się z: dwóch lekarzy weterynarii, dwóch podoficerów sanitarnych, dwóch podkuwaczy, trzech sanitariuszy w stopniu kaprała lub starszego szeregowca i kilkunastu żołnierzy pod komendą podoficera liniowego do obsługi własnych koni, lecz pełnej obsady nigdy nie mieliśmy. Personel sanitarny dysponował krótką bronią, żołnierze byli uzbrojeni w karabiny, zapas amunicji stanowiły dwie skrzynki naboju karabinowych i kilkadziesiąt granatów.

Na froncie ilość środków transportu różnych formacji często przekraczała, niekiedy nawet znacznie, stany przewidziane planem mobilizacyjnym. Ponadetatowe wozy i konie „organizowane” własnym przemysłem, pochodziły z kolchozów, które nie zdążyły ewakuować się. Taką „zdobyczą” należało przekazywać jednostkom gospodarczym, lecz robiono to tylko w ostateczności. Przełożeni przymykali oczy na łamanie przepisów i tolerowali taki stan rzeczy.

W dniu 25 grudnia 1942 roku poza przewidywanym według planu mobilizacyjnego wyposażeniem ambulans miał jeszcze cztery „trofejne” podwozy z zaprzęgami i cztery konie. Żołnierze, zwłaszcza przebywający dłuższy czas na froncie, posiadali najrozmaitsze przedmioty „zdobyczne”, patefony, narzędzia rzemieślnicze, nawet maszyny do szycia. Rzeczy te zabierali z opuszczonych domów lub nabywali u miejscowej ludności drogą handlu wymiennego.

Żołnierze doświadczeni w częstych zmianach miejsc postoju szybko i sprawnie załadowali wozy, ambulans w ciągu dwóch godzin był gotów do marszu. Rozwinęła się dyskusja, co zrobić z pięcioma workami pszenicy, stanowiącej wspólną własność. Jedni, aby nie obciążać koni, proponowali pozostawienie jej mieszkańcom w zamian za produkty spożywcze. Inni przegłosowali, aby ją zabrać tłumacząc,

że jeśli zacznie się odwrót, zaopatrzenie będzie szwankować, a wtedy pszenica może zastąpić chleb dla ludzi i paszę dla koni. Już w niedalekiej przyszłości okazało się, że mieli oni rację, w ciągu pierwszych tygodni odwrotu zaopatrzenie prawie nie funkcjonowało.

Ambulans nie miał połączenia telefonicznego ze sztabem dywizji, oczekiwaliśmy więc gońca z rozkazami. Gdy do godziny 17:00 nie było żadnej wieści, a kanonada narastała, kapitan wysłał konnego, aby zasięgnął informacji. Gонец wrócił po godzinie i zameldował, że formacje drugiego rzutu dywizji są prawie gotowe do wymarszu. Majora nie znaleźli, spotkał podoficera sanitarnego i zapytał go o rozkazy. W odpowiedzi usłyszał: „wiesz, co się dzieje, nie czekajcie na rozkazy, przyjeżdżajcie i trzymajcie się innych formacji”. Wszystko było gotowe do wymarszu, zaprzęgnięto konie i ruszyliśmy. Około godziny 19:00 dotarliśmy do dotychczasowego miejsca postoju sztabu drugiego rzutu dywizji, gdzie zastaliśmy wszystkie formacje gotowe do wymarszu. Wydawano suchy prowiant: bochenek chleba i dwie puszki konserwy na człowieka.

Po chwili zjawił się przy nas major i poinformował, że front został przerwany, sowieckie wojska znajdują się w odległości około 25 kilometrów i prą naprzód. Jego zdaniem natarcie szybko zostanie zatrzymane i front ustabilizuje się, odwrót potrwa najwyżej kilka dni. Po odejściu majora zapytałem kapitana, jak on widzi sytuację, odpowiedział, że podziela zdanie majora. Ja nie mając żadnego doświadczenia frontowego podświadomie nie zgadzałem się z ich optymizmem. Uważałem, że zapowiada się długotrwały odwrót i niewiedomo gdzie, ani kiedy zatrzymamy się. Moje przewidywania potwierdziły się, dopiero po czterech tygodniach nastąpił dłuższy odpoczynek i przegrupowanie. Wszystkie jednostki rumuńskie wycofane z tego odcinka frontu wysłano do kraju.

Nasza formacja ruszyła w drogę o godzinie 20:00. Ambulans dołączono do konnej kolumny transportowej pod dowództwem porucznika rezerwy, która miała zapewnić nam wyżywienie i paszę dla koni. Szybko straciliśmy złudzenia o zaopatrzeniu przez kolumnę. Dowódca jej nie interesował się zupełnie swoją jednostką. Wprowadziliśmy z kolumną, ale mogliśmy liczyć tylko na siebie.

Marsz boczną drogą do traktu prowadzącego do Rostowa przebiegał spokojnie i w ordynku. Parę kilometrów przed wejściem na trakt dopędziliśmy obcą jednostkę, która ruszyła wcześniej. Porządek jeszcze utrzymywał się, lecz szybkość marszu zmalała.

Na trakt weszliśmy o północy. Kolumny konne poruszały się coraz wolniej, wozy najeżdżały na siebie lub zahaczały, łamały się dyszle i koła, powstawały korki. Uszkodzone pojazdy wraz z zawartością spychano na pobocze i pozostawiano. Trakt rozjechany w czasie jesiennych roztopów był szeroki, mijaly nas kolumny zmotoryzowane, głównie niemieckie. Szły ciężarówki wyładowane sprzętem saperskim i łącznościowym, amunicją i żywnością, wozy z dźwigami, buldożery i traktory, cysterny, autobusy i samochody osobowe. Wśród wymienionych pojazdów szły także pojedyncze wozy pancerne, zmotoryzowane działa i czołgi. W pewnym momencie zobaczyłem zepchnięte z traktu działo przeciwpancerne i leżącego przy nim dogorywającego wielbłąda. Stojący obok rumuński podoficer rozpaczliwie błagał mijających go szoferów, aby wzięli działo na hol, oczywiście bezskutecznie.

Tej nocy widziałem pierwszy raz, jak zestrzelono złapany w światła reflektorów samolot. Artyleria przeciwlotnicza rozpoczęła ogień natychmiast po ujęciu samolotu w krzyżujące się światła trzech reflektorów, trafiona maszyna rozpadła się na kilka płonących części.

Na poboczu traktu leżało mnóstwo rozbitych pojazdów mechanicznych i mniej konnych, znajdowały się tam także nieuszkodzone ciężarówki, które strącono z traktu, gdyż nie miały benzyny i tamowały ruch. Obok pojazdów leżały najrozmaitsze rzeczy: kartony i skrzynie z produktami spożywczymi, workami z cukrem, mąką, zbożem, skrzynie z amunicją, meble biurowe, rowery itp. W miarę upływu czasu widziało się na poboczach coraz więcej padłych koni i porzuconych pojazdów konnych.

Noc była bardzo mroźna, większość drogi szedłem pieszo i przeglądałem leżące na poboczu materiały. Gdy znajdowałem jakieś produkty spożywcze, kazałem je ładować na nasze wozy. W ten sposób zebrałem kilka kartonów konserw mięsnych i rybnych, karton serów, dwa worki suszonych owoców i jarzyn, worek ryżu i worek cukru. Gdy w pewnym momencie kazałem zabrać skrzynkę

masła i usłyszałem, że na wozach brak już miejsca, kazałem wyrzucić skrzynki z amunicją i granaty, a na ich miejsce ładować znajdujące produkty spożywcze.

Tej pierwszej nocy odwrotu ilość porzuconych pojazdów mechanicznych malała w miarę upływu czasu, natomiast pojazdów konnych i padłych koni zwiększała się. Rankiem około godziny 8:00 zatrzymaliśmy się we wsi przepelnionej wojskiem. Z trudem znaleźliśmy chatę, w której przygotowano jedzenie i mogliśmy trochę ogrzać się i przespać. Konie okryte kocami musiały stać pod gołym niebem. W tej wsi widziałem jak z niemieckiej ciężarówki wyjęto zwłoki trzech zamarzniętych w nocy żołnierzy.

Trzeciej nocy odwrotu tuż przed świtem minął nas pociąg idący w kierunku frontu, na 30 lorach były czołgi okryte brezentem i przy każdym niemiecki żołnierz opatulony kocami, w kominiarce i futrzanej czapce.

Brak było zaopatrzenia, przez blisko cztery tygodnie karmiliśmy konie i żywił się produktami zdobywanymi własnym przemyśłem. Chyba trzeciej lub czwartej nocy mijaliśmy jedną ze stacji kolejowych na przedmieściu Rostowa. Przy wejściu do budynku była tablica z napisem, że tutaj jest rumuński punkt zaopatrzeniowy. Poszedłem zobaczyć, czy nie uda się zdobyć jakichś konserw. W jednym z pomieszczeń znalazłem stos chleba i magazyniera. Pobrałem dla ambulansu 80 bochenków, pokwitowałem odbiór na blankiecie z długą pieczętką i zaczęła się typowa wojskowa bzdura. Magazynier upierał się, że nie wyda chleba, jeżeli nie opatrzę pokwitowania okrągłą pieczęcią z godłem. Tłumaczyłem, że pieczętka leży w skrzyni na dnie wozu i nie mogę jej w tej chwili szukać. Nic nie pomagało, z uporem żądał okrągłej pieczęci. Aby skończyć jałową dyskusję odbiłem na pokwitowaniu orła z monety i to zadowoliło biurokratycznego zupaka.

Resztę chleba zabrał podoficer kolumny transportowej, która miała zaopatrywać nas w żywność i paszę. Komendantem jej był porucznik rezerwy prawie zawsze nietrzeźwy, zupełnie nie interesujący się swoimi podwładnymi. My w ambulansie mieliśmy spory zapas produktów spożywczych zebranych pierwszej nocy

odwrotu. Ludzie kolumny głodowali, czasem jedli gotowaną śrutę jęczmienną przeznaczoną dla koni.

Poza wojskiem wycofywały się także organizacje paramilitarne takie jak „Todt”, miejscowa policja, oddziały robocze składające się z młodych mężczyzn różnej narodowości. Gruzini, Czecczeńcy, Osetyńcy, Czerkiesi, Tatarzy, Kałmucy i inni szli pod strażą niemiecką. Żal było patrzeć na tych wygłodzonych, zrozpaczonych, niewiedzących co ich czeka ludzi. Żołnierze ambulansu samorzutnie dali jednej takiej grupie worek pszenicy.

Trasa odwrotu wynosiła około 1700 kilometrów, przechodziliśmy przez miejscowości, których nazw dziś już nie pamiętam. Regularnego zaopatrzenia wciąż jeszcze nie było, poza chlebem zdobytym w Rostowie nie widzieliśmy go przez miesiąc. Zapasy zebrane pierwszej nocy jedliśmy oszczędnie. Chociaż nie głodowaliśmy, staraliśmy się przy każdej okazji zdobyć coś do jedzenia.

Któregoś dnia zatrzymaliśmy się w niedużym miasteczku nad Morzem Czarnym. W znalezionej kwaterze było piekielnie zimno. W pewnym momencie rozszedł się w mieszkaniu smakowity zapach: coś smażyło. Zajrzałem do kuchni: na patelni smażyła się ryba wielkości śledzia. Spytałem gospodynię, czyby jej nie sprzedała, usłyszałem w odpowiedzi: „to bardzo droga ryba, trzeba dać za nią przynajmniej 70 marek”. Wyjąłem z kieszeni garść pieniędzy i nie licząc dałem gospodyni, wziąłem patelnię i zacząłem jeść. Po chwili baba zaczęła żegnać mnie krzyżem, błogosławić i całować po rękach. Okazało się, że dałem jej 190 marek. Widząc jej wdzięczność za te niemające wtedy dla mnie wartości pieniądze, spytałem, czy nie znalazłoby się jeszcze coś do zjedzenia. Po godzinie przyniosła półkilogramową puszkę czarnego kawioru, który zjedliśmy z kolegą bez soli i chleba, z gotowaną pszenicą. Od tego czasu nie jadłem kawioru, a na jego widok robi mi się słabo.

Trasa odwrotu wiodła przez różne wsie, przeważnie ukraińskie, rzadziej rosyjskie. Raz odpoczywaliśmy we wsi zamieszkałej przez Czechów, innym razem przez Greków, a także przez Bułgarów, byli to potomkowie sprowadzonych przed około 150 laty kolonistów. Jeszcze zachowywali swe obyczaje, między sobą

rozmawiali ojczystym językiem skażonym wielu rusycyzmami. Kilka razy spotkałem pojedynczych Polaków, prawie zupełnie zrusyfikowanych. W czasie odwrotu hodowaliśmy własne wszy, ale dopiero w greckiej wsi odkryliśmy, jak one potrafią uprzyjemnić życie.

Miejscowa ludność odnosiła się do cofających się wojsk z obawą. Ja znając dobrze język ukraiński, łatwo porozumiewałem się z mieszkańcami, ci zaś dowiedziawszy się, że jestem Polakiem szczerzej ujawniali swoje poglądy. Niemców nienawidzili i bali się, Rumuni mieli opinię raczej nieszkodliwych i dających się łatwo przekupić.

Pod koniec lutego 1943 roku miałem ciekawe przeżycie. Rozpoczęły się już wiosenne roztopy, po całodziennym marszu rozkisłem traktem, gdzie wozy zapadały się po osie, zatrzymaliśmy się w bardzo dużej wsi ukraińskiej. Wieś była pełna wojska, z trudem znalazłem kwatery dla kapitana. Konie umieściłem w dość dużej pustej stajni, tam też zakwaterowali się ludzie. Zrezygnowałem z szukania kwatery dla siebie, zdecydowałem się przenocować razem z żołnierzami w stajni.

Późnym wieczorem, kiedy większość żołnierzy już spała, wszedł do stajni wysoki, stary mężczyzna i spytał, kto jest komendantem oddziału. Zacząłem z nim rozmawiać, zdziwił się, że dobrze mówię po rosyjsku i spytał, czy mam gdzie przenocować. Odpowiedziałem, że przy bardzo dużej ilości wojska we wsi nawet nie próbowałem szukać kwatery i prześpię się w stajni. Usłyszałem: „choź ze mną, a jeżeli masz czystą zmianę bielizny to weź z sobą”. Zaprowadził mnie do domu. W rozmowie wtrącał zwroty ukraińskie i wkrótce przeszliśmy na ten język. Wypytywał, skąd pochodzę, czy jestem Rumunem, gdzie nauczyłem się po ukraińsku, powiedziałem mu wszystko, co chciał wiedzieć.

W domu wniósł do izby duży ceber, zagrzał kocioł wody, żonie kazał przeprać moją bieliznę, a mnie wykąpać się. Po kąpieli postawił na stole bochen chleba, kawał słoniny i flaszkę samogonu. Byłem mocno zdziwiony niespotykaną dotychczas życzliwością. Spytałem, co go skłania do takiego postępowania, przecież Rumuni to wrogowie Rosji, czym zasłużyłem sobie na jego życzliwość.

Odpowiedział, że w czasie pierwszej wojny światowej jego jednostka przebywała jakiś czas na Bukowinie, tamtejsi mieszkańcy odnosili się do niego, żołnierza wrogiej armii, życzliwie. Zawsze o tym pamięta. To, co robi dzisiaj dla mnie ma być niejako zwrotem długu zaciągniętego wówczas u obcych ludzi.

W dalszej rozmowie opowiedział o swoich losach po rewolucji w 1917 roku. Był właścicielem kilkunastu dziesięcin ziemi. W pierwszych latach istnienia Związku Radzieckiego było bardzo ciężko, obowiązkowe dostawy, rabunki, mimo to można było jeszcze jakoś żyć. Kiedy zaczęła się kolektywizacja, został wrogiem ludu, wywieziono go jak wielu innych „kułaków”. Udało mu się uciec z zesłania i pod przybranym nazwiskiem pracował w mieście jako robotnik. Po zajęciu tych terenów przez Niemców, wrócił do rodzinnej wsi. Obecnie wyczekuje, co przyniesie przyszłość. Front jest jeszcze dość daleko lecz wciąż zbliża się. Prędzej czy później sowieci wrócą. Nie chce ryzykować ponownego spotkania z nimi i powoli przygotowuje się do wyjazdu na zachód.

Rankiem podziękowałem mu, pożegnaliśmy się, na drogę dał mi jeszcze kawał chleba i słoniny. Różni ludzie są na świecie, nigdy nie wiadomo, kiedy trafi się na „człowieka”.

Któregoś dnia od rana padał gęsty, mokry śnieg, nasze wozy wlokły się rozmiękłym traktem. Około godziny 15:00 mijaliśmy idący na wschód zgoła dziwny oddział rumuński, jakiego do wtedy i od tamtego czasu nie widziałem. Była to kolumna połowej piekarni licząca 30 pieców na wysokich kotłach z długimi złożonymi kominami. Curiosum stanowiły zaprzęgi: każdy piec ciągnęły trzy pary dużych, długorogich, siwych wołów. Obsługę stanowili żołnierze w wieku co najmniej 40 lat i więcej (chyba pospolite ruszenie) w „opinaczach” (chodakach), uzbrojeni w długie, chyba jednostrzałowe karabiny, jeszcze z ubiegłego stulecia. Przy każdym piecu szło dwóch żołnierzy z kijami do popędzania (kłucia) wołów. Na końcu kolumny szły trzy furgony ciągnięte każdy przez trzy pary wołów.

Z podziwem patrzyliśmy na przesuwaną się obok kolumnę. Nigdy nie przypuszczałem, że na wojnie, w której najnowsze zdobycze ówczesnej techniki zastosowano do mordowania ludzi, zobaczą średniowieczną siłę pociągową: woły i usłyszę poganianie.

Pojęcie „wół” kojarzyło mi się na froncie wyłącznie z jedzeniem. Myślałem, że nawet w czasie pierwszej wojny światowej nie używano na frontach wołów, jako siły pociągowej. Dopiero w 1985 roku czy 1986 w kronice filmowej z zachodniego frontu, z czasu pierwszej wojny, pokazanej w telewizji, zobaczyłem ciężkie działa zaprzężone w cztery pary wołów, przejeżdżające kłusem przez most. Nic nowego pod słońcem, wszystko kiedyś już było.

Po miesiącu marszów, w pierwszym tygodniu tylko nocą, później dniem dotarliśmy wreszcie do miejsca koncentracji dywizji. Pierwszą czynnością było odwszenie. Na pobliskiej stacji kolejowej funkcjonowała ekipa dezynsekcyjna. Aby nie wyczekiwać w długiej kolejce na kąpiel i dezynsekcję trzeba było szefowi ekipy „przemówić do ręki”. Nie było z tym trudności, gdyż mieliśmy sporo pieniędzy znalezionych pierwszej nocy odwrotu.

Po 2 dniach wypoczynku zabrałem się do spisania protokołu strat. Nie było ich wiele: parę koców, części uprząży itp., drobiazgi zgubione w drodze lub wymienione na żywność. Czterech koni padłych w czasie pierwszej nocy odwrotu nie ująłem w protokole, gdyż mieliśmy rezerwę koni „trofiejnych”. Najważniejszą stratą były dwie skrzynki amunicji karabinowej i granaty.

O utracie amunicji nie meldowałem szefowi wcześniej. Kiedy dowiedział się o tym z przedstawionego mu do podpisu protokołu, w pełni ujawniła się jego mentalność byłego zawodowego wojskowego, którym był przed pięciu laty zanim przeniesiono go do rezerwy. Usłyszałem, zresztą jak zawsze w bardzo grzecznej formie: „panie kolego, jak pan mógł coś takiego zrobić, przecież to jest straszne przestępstwo, za które grozi sąd wojenny, a w czasie wojny kula w łeb. Mnie, komendantowi jednostki, w której doszło do tego, także grozi wysoka kara”. Przemawiał w tym tonie kilka minut, wreszcie spytał, dlaczego to zrobiłem. Wyjaśniłem, że pierwszej nocy zbierałem po drodze produkty spożywcze, a gdy zabrakło w wozach miejsca kazałem wyrzucić amunicję. Przypomniałem, że mimo braku zaopatrzenia nie głodowaliśmy, a nasi żołnierze nie kradli żywności u mieszkańców, jak to robiono nagminnie w kolumnie transportowej, która miała nas zaopatrywać. Wyjaśnienia te nie trafiały do niego, nie mieściło mu się w głowie, że ktoś odważył się wyrzucić amunicję,

jakby te nieszczęsne dwie skrzynki amunicji i kilkadziesiąt granatów miało zdecydować o losach wojny. Wciąż powtarzał: „sąd polowy i kula w łeb!”.

Przypomniałem, że przecież na własne oczy widział ogromne ilości porzuconego sprzętu, broni i amunicji. Gdyby miano karać za każdy utracony karabin czy pocisk artyleryjski, to co najmniej połowę cofającego się wojska trzeba by zamknąć. Poinformowałem go, że rozmawiałem z wachmistrzami szwadronowymi, od których przy oddawaniu protokołów nie żądano żadnych wyjaśnień odnośnie okoliczności, wśród jakich doszło do strat. Wreszcie podpisał protokoły, przyjęto je, jak zresztą było do przewidzenia, bez żadnych zastrzeżeń.

Major Eftimescu zarządził zebranie służby weterynaryjnej dywizji. Lekarze z poszczególnych jednostek raportowali o stratach i ogólnym stanie koni. Łącznie padło przeszło 800, reszta w następstwie długich marszów, niedostatecznego i nieregularnego żywienia oraz braku odpowiedniej pielęgnacji była mniej lub bardziej osłabiona. Z powodu częstego stykania się z końmi miejscowej ludności nie można było uniknąć zakażenia świerzem, który szybko rozprzestrzenił się: obecnie około 80% koni miało świerz. Brak komór gazowych nie pozwalał na leczenie, zresztą w czasie codziennych marszów, jakie nas wkrótce czekały, gazowanie nie byłoby możliwe. Zalecono, aby w miarę możliwości unikać kontaktów z miejscowymi końmi. Właściwe leczenie podjęto po około dwóch miesiącach w Transnistrii, gdzie zorganizowano centralny szpital dla koni chorych na świerz.

Któregoś dnia dostałem rozkaz wyjazdu z dwoma żołnierzami po materiały sanitarne do miasta, leżącego około 150 kilometrów na wschód od naszego miejsca postoju. Na terenach, gdzie stacjonowaliśmy, regularna komunikacja kolejowa nie istniała, kursowały tylko pociągi wojskowe i towarowe. Staliśmy w pobliżu małej stacji przelotowej, na której tylko niektóre pociągi zatrzymywały się. W dniu otrzymania rozkazu żaden pociąg nie zatrzymał się, następnego dnia raniem dowiedziałem się od zawiadowcy, że po południu zatrzyma się pociąg jadący na wschód. Warowaliśmy

na stacji już od południa, pociąg nadszedł dopiero około godziny 19:00.

W składzie pociągów towarowych zawsze był kryty wagon „ciepłuszka”, przeznaczony dla straży, urlopników i jadących służbowo. I w tym pociągu był taki wagon, zastaliśmy w nim około 30 Rumunów, Węgrów i Niemców. Podróż była luksusowa, w żelaznym piecyku przez całą noc buzował ogień, miejsca było tyle, że można było przespać się na leżąco.

Przyjechaliśmy na miejsce około siódmej. Załatwiłem formalności w komendzie stacji i punkcie zaopatrzeniowym, pobraliśmy materiały i w południe byliśmy gotowi do powrotu. Urzędnik ruchu poinformował mnie, że najbliższy pociąg na zachód odejdzie wieczorem.

Mając sporo czasu, poszedłem do miasta, żołnierze zostali na stacji. Najbardziej atrakcyjnym miejscem był „tołczok” – bazar, gdzie miejscowi handlowali jawnie odzieżą, a „spod lady” artykułami spożywczymi i papierosami, udało mi się kupić pięćset papierosów.

Wracając na stację wstąpiłem do „Soldatenheimu”. W kilku pomieszczeniach kręciło się kilkudziesięciu brudnych i zarośniętych Włochów, bez broni. Na ulicy spotkałem porucznika Włocha, zaczepiłem go, okazało się, że zna niemiecki. Poinformowałem go, że jestem Polakiem, wtedy opowiedział, jak Niemcy w brutalny sposób rozbrajali ich, kiedy po wycofaniu się z frontu żądali, aby odwieziono ich do Włoch. Obecnie Niemcy traktują ich jak jeńców, trzymają pod strażą i wysyłają do Reichu do pracy. On sam i jego ludzie w „Soldatenheimie” od tygodnia oczekują na transport. O takim postępowaniu Niemców w stosunku do Włochów już wcześniej dochodziły nas słuchy, informacje z pierwszej ręki potwierdziły je.

Do pozostawionych na stacji dwóch żołnierzy dołączył trzeci, który w pierwszych dniach odwrotu zniknął. Był to Ukrainiec, tłumaczył się mętnie, że w jakiejś wsi zasnął. Wprowadził starą się dogonić ambulans lecz bez skutku, po dwóch dniach spotkał podobnego marudera i odtąd szli razem. Duże trudności mieli ze zdobywaniem żywności, jedli tylko to, co udało się im ukraść. Któręś dnia wyszli ze wsi, w której nocowali, w chwili kiedy

wjeżdżali do niej sowieccy motocykliści. W końcu dotarli do linii okopów obsadzanych przez Niemców. Wczoraj zgłosił się w komendzie miasta, gdzie skierowano go do miejsca postoju dywizji. Ucieszył się, kiedy na stacji spotkał kolegów z ambulansu. Poinformowałem go, że zgłosiliśmy o jego zniknięciu i został uznany za zaginionego. Po powrocie zameldowałem o jego powrocie, po łagodnym przesłuchaniu wpisano go ponownie do ewidencji i odesłano do ambulansu.

Oczekiwany pociąg nadszedł około godziny 19:00, składał się z 40 platform załadowanych surówką żelaza. W krytym wagonie dla eskorty było już przeszło 60 osób, próby wciśnięcia nie powiodły się. Prawie dwudziestostopniowy mróz nie zachęcał do całonocnej jazdy na odkrytej platformie, lecz z uwagi na to, że na następny pociąg trzeba było czekać do południa drugiego dnia, zdecydowaliśmy się na jazdę. Prócz nas, blisko 30 żołnierzy „wsiadło” na platformy, na których już było sporo pasażerów. Po godzinnym postoju pociąg ruszył, wlokł się powoli i zatrzymywał często, przepuszczając wojskowe transporty jadące jednotorową linią w obydwu kierunkach.

Marziliśmy coraz bardziej, wreszcie jeden z „pasażerów” wyciągnął siekierę, odłupał parę szczap ze ściany wagonu i rozpałił ogień na bloku surówki. Ludzie kolejno grzali się przy słabym płomieniu maskowanym kocami. Na pierwszym postoju po rozpaleniu ognia przyszli żołnierze eskorty z awanturą, że sprowadzimy sowieckie samoloty. W dalszej drodze utrzymywaliśmy ogień tylko w czasie jazdy. Po całonocnej męczącej podróży, piekielnie zmarznięci dotarliśmy do ambulansu w południe.

Od paru dni krążyły pogłoski, że nasz postój wkrótce skończy się. Na kwaterze dowiedziałem się, że nadszedł rozkaz wymarszu i ambulans jest już przygotowany do drogi. Rozpoczął się drugi etap odwrotu. Kwatermistrzostwo i niektóre służby wyszły drugiego dnia po moim powrocie, ambulans i inne jednostki po dwóch dniach.

Poszczególne jednostki szły w szyku zwartym. Marsz rozpoczynano o godzinie 7:00, w czasie godzinnej przerwy południowej karmiono konie, wieczorem, około godziny 18:00-19:00 zatrzymywano się. W miejscowościach, gdzie stawano na noc, oczekiwała ciepła strawa i rozdawano suchy prowiant na następny dzień. W miarę

oddalania się od frontu odwrót przebiegał coraz sprawniej. Jednostki zachowywały stałą łączność z komendą i dywizją, w marszu i na kwaterach przestrzegano porządku, zaopatrzenie było regularne i coraz lepsze.

Któregoś dnia zaopatrzenie dostarczyło do ambulansu około stu trzydziestu litrów spirytusu, który mieliśmy rozdzielić według listy przysłanej przez majora Eftimescu. Po odbiór spirytusu przybyli przed wieczorem lekarze z poszczególnych jednostek dywizji. Nasz ambulans dzielił spirytus nie pierwszy raz, lekarze, wiedząc jak taka uroczystość odbywa się, przynieśli produkty spożywcze. My w ambulansie byliśmy doświadczeni w robieniu „oszczędności” i przygotowaliśmy siedem litrów wódki.

Spirytus rozdzielono, późniejszy „chev” (czyt. „kiew”) – popijawa udał się, lekarze, z wyjątkiem jednego, w dobrych humorach, ale jeszcze samodzielnie powrócili do swych kwater. Ten jeden zrobiony „na miękko”, zasnął na mojej pryczy i nie można go było obudzić. Był to jeden z dwóch lekarzy, którzy podczas kilkudniowego pobytu w koszarach w jesieni 1941 roku z rozkazu komendanta byli moimi „podkomendnymi”. Rankiem z trudem udało mi się go obudzić, on zaś zobaczywszy na stole butelkę z resztką około 1/4 litra wódki, wypił ją i zasnął ponownie.

Zbliżał się czas wymarszu, w tej sytuacji ubrałem go w płaszcz, ułożyłem na wozie, okryłem kocami i kożuchem i ruszyliśmy w drogę. Dzień był mroźny. Co pewien czas usiłowałem obudzić go, lecz bez skutku. Spał do południa, a zanim powrócił do przytomności, minęły jeszcze dwie godziny. Skarżył się, że nie czuje stóp. Po zdjęciu butów i skarpet okazało się, że odmroził kilka palców. Wieczorem odprowadziłem go do punktu sanitarnego, skąd, jak się później dowiedziałem, następnego dnia odwieziono go na najbliższe lotnisko i odesłano do kraju. Kilka miesięcy później spotkałem go w Bukareszcie. Opowiedział, że u jednej nogi amputowano mu dwa palce, dzięki czemu komisja lekarska uznała go za niezdolnego do dalszej służby i zwolniła z wojska. Był to typowy przykład dla tamtych czasów: ojciec był generałem, stąd względy – transport samolotem do kraju i zwolnienie.

Dni stawały się coraz dłuższe, słońce przygrzewało, zaczęły się wiosenne roztopy. Drogi w stepie przekształciły się w szerokie na kilkadziesiąt, niekiedy na przeszło sto metrów błotniste trakty. Podczas marszu takimi drogami błoto sięgało osi. Niekiedy trzeba było przypręgać do wozu drugą parę koni, a czasem wyciągać je traktorem.

Któregoś dnia po południu, kiedy samotnie doganiałem wozy ambulansu, przeleciał nade mną w kierunku zachodnim „kukuruźnik”. Po chwili usłyszałem kilka detonacji i wybuchów. Kiedy po 20 minutach dojechałem do wioski, zobaczyłem na drodze zwłoki żołnierza, obok drogi paliła się chata i leżały cztery martwe konie. W rozmowie ze spotkanym podoficerem dowiedziałem się, że świeżo przybyły z kraju do oddziału prowadzącego dział przeciwlotnicze podporucznik (pierwszy raz w strefie frontowej) rozkazał otworzyć ogień do nadlatującego samolotu, zresztą bez powodzenia. W odpowiedzi pilot zrzucił trzy małe bomby, czego skutki właśnie widziałem. Rumuńskie jednostki będące w odwrocie nie otwierały ognia do nadlatujących czasem sowieckich samolotów, a piloci tych maszyn nie bombardowali tych kolumn. Nowo przybyły oficer nie zapoznał się jeszcze z ogólnie przyjętymi w czasie odwrotu zwyczajami i swoją gorliwością wywołał niepotrzebne straty.

Stan sanitarny koni wciąż się pogarszał. Ogromna większość zwierząt była osłabiona długotrwałymi marszami i nieregularnym żywieniem często zmienianymi i nie zawsze dobrej jakości paszami. W co dzień zmieniających się kwaterach nie było warunków do izolowania koni opadniętych świerzbem, co w końcu doprowadziło do zakażenia całego pogłowia.

Na temat, co przyniesie najbliższa przyszłość, krążyły najrozmaitsze pogłoski, w połowie marca 1943 roku dowiedzieliśmy się, co nas czeka. Nadszedł rozkaz, aby nasza dywizja zorganizowała w Transnistrii (obszar między Bohem i Dniestrem pod okupacją rumuńską) ośrodek dla koni chorych na świerzb, gdzie miano przeprowadzić ich leczenie. Miały tam pozostać wszystkie konie, konieczna dla ich obsługi ilość żołnierzy, personel sanitarno-weterynaryjny wszystkich jednostek i oddziałów oraz część personelu innych służb niezbędnych dla funkcjonowania nowo powstającej

formacji. Pozostała część oddziałów liniowych miała powrócić do koszar.

Około 20 marca 1943 roku ekipa kwatermistrzów złożona z kilku oficerów, w tym dwóch lekarzy weterynarii, wyjechała do Transnistrii, aby znaleźć odpowiednie miejsce dla mającego powstać ośrodka. Z końcem marca dywizja przeszła Boh i szła dalej w kierunku Szargorodu (Szarogrodu), miejscowości obranej na lokalizację tego ośrodka.

Do Szargorodu przybyliśmy w pierwszej dekadzie kwietnia 1943 roku. W ośrodku znalazło się około 2800 koni, przeszło połowę pomieszczono w czterech dużych oborach przy spalonej w czasie działań wojennych cukrowni, resztę w kilku mniejszych stajniach i oborach sowchozów i kołchozów w promieniu czterech kilometrów od miasta. Ponadto zajęto cztery mniejsze stajnie w mieście, w których umieszczono konie po gazowaniu.

Żołnierzy zakwaterowano w magazynach cukrowni i za miastem w gospodarstwach, gdzie stały konie. Po kilku tygodniach co sprytniejsi żołnierze mieszkali już u miejscowej ludności. Oficerowie i podoficerowie kwaterowali u mieszkańców, biura poszczególnych służb mieściły się w czterech izbach szkoły.

W ciągu pierwszych dwóch dni pobytu w Szarogrodzie służba weterynaryjna dokonała przeglądu koni i wysegregowała 3 grupy: mocno, średnio i słabo zakażone świerzbem; każdą grupę umieszczono oddzielnie. Na terenie spalonej cukrowni skonstruowano sposobem gospodarczym sześć komór gazowych, wykorzystując stojące resztki ścian. W tym czasie przeprowadzono także dokładną dezynfekcję i dezynsekcję stajni przeznaczonych dla gazowanych koni.

Po tygodniu nastąpiła zmiana szefa ambulansu dywizyjnego. Kapitan dr Mihai wrócił do Botoszan i tam został zdemobilizowany. Na jego miejsce przyszedł podporucznik rezerwy dr Lungu, którego poznałem w stopniu szeregowca w 1941 roku przed jego wyjazdem na front. Jak wspomniałem wcześniej, ówczesny komendant kadry kapitan Negru oddał go – doktora w stopniu szeregowca pod moją komendę – studenta w stopniu „plutoniera” (sierżanta). Dzisiaj role

zmieniły się, on został moim szefem. Od początku jego szefostwa stosunki nasze ułożyły się na stopie koleżeńskej i przyjacielskiej.

Niezwłocznie po przygotowaniu komór przystąpiono do gazowania, dziennie poddawano zabiegowi 70-80 koni. Każdą komorę obsługiwało dwóch żołnierzy, których głównym zadaniem było pilnowanie, aby podczas trwającego pół godziny zabiegu koń nie wciągnął głowy do komory pełnej gazu. Wypadki takie zdarzały się niekiedy przy gazowaniu koni bardziej nerwowych. U koni szybko wyprowadzonych z komory następstwa ograniczały się do podrażnienia górnych dróg oddechowych, dłuższe przebywanie w komorze prowadziło do ciężkiego, ropnego zapalenia płuc i śmierci. Niekiedy, zwłaszcza podczas silnych upałów i zbyt wysokiej temperatury wewnątrz komory, dochodziło do podrażnień skóry, łatwo dających się leczyć. Dwaj żołnierze byli stale zajęci konserwowaniem komór, to jest zaszmarowywaniem gliną powstających szczelin. Ogólny nadzór nad gazowaniem sprawowali dwaj podoficerowie sanitarni i jeden lekarz.

Wszystkie konie gazowano dwukrotnie w odstępach trzytygodniowych, konie z rozległymi zmianami poddawano zabiegowi trzykrotnie i niekiedy czterokrotnie. Zmiany miejscowe na skórze głowy i części szyi nieobjętej gazowaniem leczono preparatami siarkowymi. Po zabiegu konie wprowadzano do świeżo odkażonych pomieszczeń, gdzie przebywały do następnego gazowania. Gazowanie, regularne i prawidłowe żywienie oraz właściwa opieka dawały dobre wyniki, konie szybko powracały do dobrej kondycji. Co 3 tygodnie dokonywano komisyjnie przeglądu i segregacji, konie wyleczone odsyłało transportem kolejowym do kraju.

W ambulansie dywizyjnym nie było zbyt wielu zajęć, doprowadzano jedynie poważniejsze przypadki, których nie było zbyt wiele. Nieco więcej pracy mieliśmy w drugim tygodniu pobytu, kiedy to z powodu braku słomy na ściółkę w jednej stajni posypano stanowiska żużlem zmieszonym z piaskiem. U dwustu stojących w niej koni wystąpiła gruda, którą po usunięciu żużlu wyleczono w ciągu tygodnia.

Nasi żołnierze szybko znaleźli źródło łatwych i niezłych dochodów – zaczęli pędzić samogon. Duża ilość darmowego surowca do jego produkcji znajdowała się w obrębie zniszczonej cukrowni, gdzie była spora hałda zastygłej melasy zanieczyszczonej piaskiem i gruzem. Oczywiście samogon okazał się doskonałym kluczem do szybkiego nawiązania bardzo dobrych stosunków z miejscową ludnością.

Lekarze, jak i inni oficerowie, mieli mnóstwo wolnego czasu. Jedni uprawiali turystykę, jeździli do Kijowa, Odessy, Winnicy; inni popijali i grali w karty. Ten kilkumiesięczny służbowy pobyt w Szarogrodzie przebiegał raczej jak urlop wypoczynkowy.

Tym, którzy przebywali na froncie od dłuższego czasu, zaczęto w połowie maja udzielać dwutygodniowych urlopów. Mnie, jako że przybyłem na front z końcem 1942 roku, nie przysługiwał urlop, lecz sprawa dała się załatwić w inny sposób. Major Eftimescu często wysyłał mnie „służbowo” do kraju. Było to z korzyścią dla niego, bo z każdego wyjazdu przywoziłem mu jakiś prezent, jak i dla mnie, bo zawsze mogłem przez 2-3 dni być w domu i załatwiać swoje sprawy. Poza tym zarabiałem trochę pieniędzy przywożąc za każdym razem co najmniej 50 kilogramów soli, która z powodu jej braku była w Transnistrii droga.

Od kilku Polaków mieszkających w Szarogrodzie, dowiedziałem się, że w sąsiednim miasteczku jest katolicka parafia, a proboszczem jest przybyły wiosną 1942 roku ksiądz Dujak z Rumunii. Księdza Dujaka, Polaka stale mieszkającego w Rumunii, poznałem przed wojną, jeszcze jako kleryka. W którąś sobotę odwiedziłem go. Pokazał mi ładny, średniej wielkości, dobrze utrzymany kościół, kilkanaście właśnie wietrzących się ornatów, naczynia liturgiczne i drukowane pod koniec XIX wieku ewangelie. Na plebanii poznałem trzech „starszych” bractwa kościelnego, w wieku około 50-60 lat. Opowiedzieli mi, że w mieście żyje kilkadziesiąt rodzin przyznających się do polskości. Dzięki ich staraniom, to jest płaceniu wysokich podatków, kościół był otwarty do 1937 roku. Nabożeństwa odbywały się rzadko, odprawiał je ksiądz przyjeżdżający z dalszych stron. Ciągłe szykany i wciąż rosnące podatki spowodowały zamknięcie kościoła. Szaty, naczynia sakralne

i sporo innych rzeczy kościelnych wierni przechowali do czasu ponownego otwarcia kościoła w jesieni 1941 roku. Starsze pokolenie jeszcze mówiło po polsku, młodszy rozumieł, ale porozumiewał się po rosyjsku, wszyscy na pytanie, czy jest Polakiem, czy Rosjaninem odpowiadali „ja katolik”. Taką odpowiedź usłyszałem także w Mohylowie od całkowicie zrusyfikowanego Polaka. Młody, pełen energii ksiądz był nie tylko przewodnikiem duchowym, ale także działaczem starającym się utrzymać wiernych w polskości.

W maju 1943 roku doszły nas pierwsze wieści o odkryciu masowych grobów polskich oficerów wymordowanych w Katyniu. Niemcy wydawali dla wojska czasopismo o nazwie „Der Soldat”, było ono wydawane także w językach wojsk sojuszniczych. Dotychczas nie dostawaliśmy tego czasopisma, zdziwiło więc nas dostarczenie w drugiej dekadzie maja kilkudziesięciu egzemplarzy rumuńskiego „Soldata”. Numer ten był prawie w całości poświęcony sprawie Katynia. Treść artykułów i dokumentacja były przekonywujące, mimo to większość naszych oficerów nie wierzyła przedstawionym tam faktom. Uważali, że jest to raczej chwyt propagandowy mający na celu zmianę wrogiego stosunku Polaków do Niemców, a może nawet skłonienia do kolaboracji. Inni jednak byli zdania, że Niemcy musieli mieć niezbite dowody, iż zbrodnię popełnili sowieci. Gdyby było inaczej nie zgodziliby się na udział międzynarodowego Czerwonego Krzyża w badaniach sprawy na miejscu.

Pilnie słuchano obcego radia. Sowietom głośno krzyczeli, że Niemcy wywieźli jeńców z obozów do Katynia i tam ich wymordowali. Zachód mówił o Katyniu skąpo i z rezerwą. O zerwaniu stosunków dyplomatycznych z rządem polskim w Londynie dowiedzieliśmy się z radia sowieckiego.

Nie wiadomo było, komu wierzyć. Po kilku tygodniach doszły nas wieści z kraju, że dane przedstawione przez Niemców są wiarygodne i sprawdzone. Mętne wypowiedzi, a raczej nawet milczenie Zachodu na temat Katynia miało podłoże polityczne. Ja, często jeżdżąc do kraju, spotykałem się w Czerniowcach z Polakami, dysponującymi wiadomościami z pewnych i dobrze poinformowanych źródeł za granicą, z których wynikało, że mordu

w Katyniu dokonali sowieci. Do czasu kapitulacji w sierpniu 1944 roku sprawę katyńską często dyskutowałem z Rumunami. Natomiast po kapitulacji, kiedy Rumunia stała się sojusznikiem i „przyjacielem” sowieków, temat ten można było poruszać tylko w kole osób zaufanych.

Rehabilitacja koni przebiegała pomyślnie. W połowie czerwca 1943 roku rozpoczęto przygotowania do likwidacji ośrodka. Z odchodzącymi do kraju co trzy tygodnie transportami koni zdrowych, wysyłano stopniowo także różne materiały, które w miarę zmniejszania się liczby zwierząt stawały się zbędne. Zakładano, że ośrodek zakończy swą działalność w połowie lipca. Istotnie ostatni transport koni, a zaraz po tym służba weterynaryjna i administracja odjechały w trzeciej dekadzie lipca. Nie starczyło wagonów na załadowanie reszty materiałów, w tym jednej ciężarówki i kilkunastu furgonów. Przyczyną tego był jak zwykle pośpiech i ogólny bałagan. W ferworze przygotowań do likwidacji ośrodka, naczałstwo pamiętało tylko o koniach, a zapomniało o potrzebie zamówienia wagonów do transportu reszty materiałów.

Materiały te, zmagazynowane w pobliżu stacji kolejowej, oczekiwały na przyjęcie wagonów, które miano zamówić w Botoszanach. Do pilnowania i transportu materiałów pozostawiono grupę pięciu żołnierzy i podoficera – mnie. Mimo tego, że należałem do służby weterynaryjnej, wyznaczono mnie na kozła ofiarnego, który musiał pozostać z materiałami, ponieważ miałem najkrótszy staż frontowy. Nie stało się to oczywiście bez cichego współdziałania majora, który nie omieszkał skorzystać ze swojej władzy przełożonego. Pocieszano mnie, że zaraz po przyjeździe do Botoszan administracja złoży zamówienie na wagony, będę więc czekał najwyżej kilka dni.

Zażądałem od działu finansowego pieniędzy na utrzymanie pozostających ze mną żołnierzy na okres miesiąca. Zaskoczyło to płatnika. Oficerowie działu finansowego po prostu nie pomyśleli, że zostający z materiałami ludzie muszą jeść. Kiedy wreszcie zrozumieli, o co chodzi, chcieli pozostawić pieniądze tylko na dziesięć dni, gdyż ich zdaniem wagony przyjdą najdalej za tydzień. Znając szybkość załatwiania spraw, w których nikt nie jest osobiście

zaangażowany, uparłem się i w końcu wytargowałem pieniądze na 30 dni, co i tak z trudem wystarczyło, gdyż wagony przysły po czterech tygodniach, a jazda do Botoszan trwała trzy dni.

I w tej sprawie raz jeszcze potwierdziła się mentalność większości zawodowych wojskowych, trudna do przyjęcia dla cywila. Starszy stopniem jest zawsze mądrzejszy, nie tylko w sprawach ściśle wojskowych, ale także we wszystkich innych. Przy takim nastawieniu zawodowców znalezienie wspólnego z nimi języka dla cywila czy rezerwisty jest niezmiernie trudne, a często niemożliwe.

Czas oczekiwania dłużył się. Jedynym moim zajęciem było przesiadywanie na stacji i przyglądanie się przejeżdżającym pociągom. Ruch kolejowy był dość duży, dziennie przejeżdżały dwa pociągi osobowe z urlopowiczami do kraju i powracającymi na front oraz kilka pociągów towarowych, ponadto transporty wojskowe. W kierunku frontu szło wszelkiego rodzaju zaopatrzenie do kraju, przeważnie surówka żelaza, melasa, spirytus i zboże.

Naczelnik stacji opowiedział mi, jak miejscowa ludność wykrada z cystern płynne materiały. W nocy przewiercają ściany cystern i zbierają wypływającą ciecz, otwory zatykają, częściej jednak pozostawiają otwarte. Na stacjach, gdzie pociągi zatrzymywały się na dłużej, kolejarze i eskorta przeglądali cysterny i zatykali znalezione otwory. Jeżeli na stacjach, na których pociągi nie zatrzymywały się, zobaczono tryskającą z przejeżdżających cystern ciecz, telefonowano do następnej stacji, aby pociąg zatrzymać i pozatkać otwory.

Straty spowodowane wypływem cieczy były ogromne, zależnie od wysokości na jakiej przewiercono otwór, sięgały niekiedy połowy i więcej objętości. Zdarzało się także rozbijanie wagonów i kradzieże innych materiałów. Wprawdzie każdy pociąg towarowy miał wojskową eskortę, ale Rumuni z reguły pełnili służbę niedbale, a w nocy woleli nie spotykać się ze złodziejami, a niekiedy dywersantami. Któregoś dnia naczelnik pokazał mi takie cysterny z kołkami.

Naczelnika stacji poznałem dawniej w czasie wysyłania transportów koni do kraju. Teraz poznałem innych członków miejscowej elity: podporucznika komendanta posterunku żandarmerii, „primara” (wójta) i popa. Spotykaliśmy się wieczorami w miejscowej gospodzie przy piwie lub winie, lub u naczelnika, gdzie graliśmy w karty. Po dwóch tygodniach oczekiwania zatelefonowałem do zaprzyjaźnionego podoficera z biura mobilizacyjnego i poprosiłem go, aby dowiedział się, czy wagony zamówiono, a jeżeli nie, to aby odpowiednio zadziałał. Następnego dnia zatelefonowałem powtórnie i dowiedziałem się, że wagony zamówiono dopiero po moim telefonie.

Po dalszych kilkunastu dniach oczekiwania wagony wreszcie nadeszły. Załadowaliśmy pozostawione materiały i po trzydniowej podróży dobrnęliśmy do Botoszan. Tam przekazałem przywiezione barachło i siódmego września 1943 roku zwolniono mnie do cywila.

Pozostała mi do załatwienia sprawa poborów, których nie odbierałem od grudnia 1942 roku. Jak wspominałem, po przybyciu na front biuro mobilizacyjne ujęło mnie w ewidencję, a dział finansowy przyjął moje zgłoszenie i obiecał wpisać na listę żołdu po świętach. Na front przybyłem 22 grudnia, a 25 grudnia 1942 roku rozpoczął się odwrót, finansisci nie zdążyli wpisać mnie na listę żołdu, a później zapomnieli.

W strefie operacyjnej, do której należała także Transnistria, frontowy żołd wypłacano w ostmarkach. Podczas odwrotu i później w Transnistrii miałem z różnych źródeł wystarczającą ilość tej „waluty” na wydatki i grę w karty, celowo więc nie przypominałem, że nie otrzymuję żołdu. W razie potrzeby kupowałem ostmarki po kursie czarnorynkowym, znacznie niższym od oficjalnego, wolałem więc, aby należny frontowy żołd wypłacono mi później w kraju w lejach według oficjalnego kursu.

Kiedy zgłosiłem się do działu finansowego i okazało się, że w ciągu całego pobytu w strefie operacyjnej nie pobierałem żołdu, starano się wmówić mi, że sam jestem temu winien, gdyż po przybyciu na front nie zgłosiłem się u nich. Dopiero, gdy pokazałem w książeczce wojskowej adnotację biura mobilizacyjnego i działu finansowego o zgłoszeniu mego przybycia w dniu 22 grudnia 1942 roku, finanse uznały swoją winę. Oczywiście sprawa wypłaty dodatku

frontowego w lejach według oficjalnego kursu ostmarki wymagała pewnych dodatkowych formalności, co mogło zmusić mnie do przedłużenia pobytu w Botoszanach. Orientowałem się jednak dobrze, że przy dobrej woli formalności te dadzą się skrócić, a że zależało mi na czasie, pobudziłem tę dobrą wolę przemową do ręki właściwego płatnika, czego efektem było wypłacenie mi należności już w następnym dniu.

Pożegnałem się z przyjaciółmi jak zwykle przy dobrym winie i odszedłem do cywila. Niestety moja wolność nie trwała długo, już 18 października 1943 roku znowu musiałem ubrać się w mundur. Tym razem wysłano mnie oraz podoficera i 30 żołnierzy pod komendą porucznika do Jampola w Transnistrii. Ja miałem wziąć udział w rekwizycji koni dla naszego pułku i zapewnić im opiekę sanitarną, żołnierze obsługiwać przyjęte konie. Kwatery i wyżywienie w czasie pobytu w Jampolu oraz wagony i furaże na czas transportu do Botoszan miały zapewnić tamtejsze władze wojskowe.

W Jampolu były już oddziały trzech innych jednostek przybyłe po konie. Rekwizycja i przekazywanie koni odbywało się w kolejności przybycia poszczególnych ekip, nasza jako czwarta musiała oczekiwać na swoją kolej kilkanaście dni.

Dowódcy i lekarze weterynarii poszczególnych grup mieli dużo wolnego czasu, często spotykali się, grali w karty, popijali i zwiedzali pobliskie okolice. Trzech lekarzy weterynarii znałem z czasów zimowego odwrotu i pobytu w ośrodku koni chorych na świerzb. Jeden z nowo poznanych dr Virgil Gligor był w pewnym okresie po wojnie dyrektorem Instytutu Zootechnicznego w Bukareszcie i przez kilka lat wiceministrem rolnictwa. Już jako obywatel polski spotykałem się z nim podczas kilkakrotnych służbowych pobytów w Rumunii w latach 1958-1974.

Obecna rekwizycja (trzecia od wybuchu wojny) przebiegała powoli. Z przebranego wcześniej pogłowia można było wybrać niewiele koni, głównie pociągowych; dziennie rekwirowano 15-30 sztuk.

Po przeszło dwutygodniowym oczekiwaniu nadeszła nasza kolej. Cieszyliśmy się na szybki powrót do Botoszan. Aby było ciekawiej, w drugim dniu rekwizycji nadszedł z pułku rozkaz, aby wracać z końmi pieszym marszem. Nie było w tym nic trudnego, gdyż Botoszany leżały w odległości około 120 kilometrów. Przestrzeń tę można było łatwo przebyć nie męcząc koni w ciągu 3-4 dni. Problem leżał w braku wozów do zabrania przydzielonych nam na czas marszu furaży – około 800 kilogramów śruty jęczmiennej i 1600 kilogramów prasowanego siana. Na prośbę o przydzielenie nam kilku podwód odpowiedziano nam w komendzie z przymrużeniem oka, że transport musimy zorganizować we własnym zakresie.

Nasi żołnierze kwaterowali w dwóch podmiejskich kołchozach. Wśród kilkunastu o dłuższym stażu frontowym znalazłem dwóch, którzy wcześniej służyli w ambulansie, znali ukraiński i łatwo porozumiewali się z miejscową ludnością. W ciągu kilkunastodniowego pobytu żołnierze dobrze poznali się z kołchoźnikami i, jak mi opowiedano, kręcili z nimi lewe interesy. Na kupno podwód nie mieliśmy pieniędzy, pozostało jedynie „zorganizowanie” ich. Dzieła tego można było dokonać w kołchozach, a mogli to zrobić tylko nasi żołnierze.

Dwóm moim podwładnym powiedziałem o konieczności zdobycia podwód i uprzęży, na co możemy poświęcić połowę przydzielonych nam furaży. Oni porozumieali się z kilku sprytnymi frontowcami i po paru godzinach zameldowali, że sprawa jest załatwiona, sprzężaj będzie dostarczony bezpośrednio przed wymarszem. Żołnierze wiedzieli, że zorganizowany sprzęt trzeba będzie zlikwidować w drodze lub na ostatnim postoju przed Botoszanami. Aby nie narażać się na komentarze i uniknąć tłumaczenia, w jaki sposób zdobyliśmy podwody, postanowiliśmy wyjść z Jampola w nocy.

Rekwizycja koni dla naszej grupy trwała pięć dni. W ostatnim dniu pobraliśmy furaże, przy czym żołnierze „zorganizowali” dodatkowo 200 kilogramów jęczmienia i cztery beły prasowanego siana; po rozliczeniu się z kołchoźnikami nie brakowało paszy na czas marszu.

Wyszliśmy z Jampola w nocy około godziny 1:00. Żołnierze „zorganizowali” siedem podwód, odpowiednią ilość uprzęży i dwa siodła, a jak po dwóch dniach dowiedziałem się, także jednego konia. W miarę zużywania pasz żołnierze pozbywali się zbytecznego sprzężaju, na trzecim postoju pozbyli się konia. Rankiem czwartego dnia marszu pozostały tylko dwa siodła. W dniu 18 listopada 1943 roku oddział jeźdźców na oklep wszedł do koszar. Dwa zdobywcze siodła natychmiast zniknęły bez śladu. Formalności związane z przekazaniem koni trwały jeden dzień, 20 listopada odszedłem do cywila, lecz znowu nie na długo.

W trzeciej dekadzie stycznia 1944 roku znowu dostałem wezwanie, a w pułku stawilem się 27 stycznia. Wysłano mnie do Mohylowa w Transnistrii, gdzie miałem zapewnić opiekę sanitarną około 120 źrebiętom do czasu załadowania ich do wagonów i podczas transportu do Piatra Neamt. Żrebięta miano rozdać chłopom, od których przed kilku miesiącami zarekwirowano konie.

Do Mohylowa przyjechałem 31 stycznia, zgłosiłem się w komendzie miasta, skąd odwieziono mnie do odległej około cztery kilometry zniszczonej cukrowni, gdzie zgromadzone źrebięta oczekiwały na transport. Dwa dni później przyjechał po nie podporucznik z grupą kilkunastu żołnierzy.

W cukrowni przyjął mnie chłop w wieku około 60 lat, przedstawiony szumnie jako „administrator”, który faktycznie był stróżem zniszczonego i całkowicie wyszabrowanego obiektu. Poza nim byli jeszcze dwaj cywile obsługujący przebywające tam od dwóch tygodni źrebaki.

W ogromnej, ciemnej i zagraconej stajni biegało luzem około 120 źrebaków w wieku do roku. Karmione skąpo wyłącznie kiepskim sianem, bez ściółki, wychudzone, brudne i opadnięte świerzbem przedstawiały się bardzo nędznie. Moja opieka sanitarna ograniczała się do opatrywania drobnych skaleczeń i dozorowania, aby je chociaż trochę czyszczono.

Zakwaterowałem się u „administratora”, który wieczorem wystąpił z luksusową ucztą: samogon z buraków, „sało” (gotowana słonina) i chleb. Dziwił się, że dobrze mówię po ukraińsku, powiedziałem mu, że jestem Polakiem, a moja wieś rodzinna jest zamieszkała prawie wyłącznie przez Ukraińców. Po kilku głębszych powiedział „ja nie Ruski, ja katolik” i pokazał mi plik starych dokumentów, wśród których znajdował się akt uszlachcenia któregoś z jego przodków w połowie XVII wieku. Opowiedział mi, że ojciec jego miał kilkadziesiąt dziesięcin ziemi i mały dworek, w domu mówiono po polsku, on jeszcze rozumie i trochę mówi po polsku. Ojciec zmarł przed pierwszą wojną światową, po rewolucji w 1917 roku zabrano mu ziemię, ale udało mu się uniknąć zesłania.

Wraz z przybyłym do Piatra Neamt podporucznikiem załatwiliśmy formalności związane z odbiorem źrebiąt oraz furaży i suchego prowiantu na czas transportu. Przydzielono nam 2300 kilogramów owsa i 3,5 tony prasowanego siana, było to znacznie więcej od ilości potrzebnej na 5 dni przewidywanego transportu.

W bałaganie towarzyszącym wydawaniu furaży żołnierze „zorganizowali” jeszcze 700 kilogramów owsa i tonę siana. Po dwóch dniach oczekiwania nadeszły na bocznice cukrowni wagony, do dziesięciu załadowano źrebięta, do dwóch furaże.

Z Mohylowa wyjechaliśmy 5 lutego 1944 roku w południe, zmienialiśmy trzykrotnie kierunek jazdy, trwało to zawsze kilka godzin, postoje na węzłowych stacjach były długie. Pociągi wlokły się powoli, przejazd około 280 kilometrów trwał przeszło cztery doby. Do Piatra Neamt przyjechaliśmy 9 lutego o świcie. Chłopi oczekiwali na stacji od poprzedniego wieczora, źrebięta rozdzielono w ciągu kilku godzin. Pozostała przeszło połowa furaży otrzymanych na drogę, myślałem, że przyjadą po nie wozy jednostki porucznika, lecz stało się inaczej. Porucznik sprzedał resztki pasz miejscowym kupcom, wkrótce kilku cywili zabrało pozostałe furaże i szybko odjechali. Część uzyskanych z tej transakcji pieniędzy porucznik dał swoim żołnierzom i kolejarzom pomagającym w przeładunku, mnie wręczył 1000 lei, resztą podzielił się z zaopatrzeniowcem swojej jednostki. Na moje pytanie, czy nie obawia się przykrych następstw, odpowiedział, że otrzymane furaże zostały przecież oficjalnie

rozchodowane, nikt więc nie będzie się interesował, czy pozostały jakieś resztki. Zresztą nie takie „afaceri” (czyt. „afaczeri”) – interesy robi się w wojsku. W tym miał rację, w porównaniu z różnymi sprawami finansowymi z jakimi stykałem się w wojsku, sprzedaż pasz nieużytych, lecz już rozchodowanych była niewinnym żartem.

Po przekazaniu żrebiąt powinienem był wrócić do Botoszan, lecz urwałem się na parę dni do domu. Mogłem to zrobić bez ryzyka, gdyż porucznik zadziałał w komendzie, aby na moich dokumentach podano późniejszą datę przybycia transportu do Piatra Neamt, miałem więc do dyspozycji trzy dni.

Nie obeszło się bez obłania udanego interesu, po kolacji z porucznikiem i zaopatrzeniowcem pojechałem w nocy do Czerniowiec.

Sytuacja na frontach pogarszała się. Od jesieni 1943 roku liczono się poważnie z możliwością wkroczenia Sowietów do Rumunii na wiosnę 1944 roku. Wielu znajomych, chcąc uniknąć zaskoczenia, jakie miało miejsce w 1940 roku przygotowywało się do wyjazdu. Już w listopadzie i grudniu 1943 roku, wynajmowano mieszkania w głębi Rumunii, przeważnie na południu, i wysyłano najrozmaitsze rzeczy, od maszyn rolniczych do kuchennych garnków. Kuzyn, szukając mieszkania dla swojej rodziny, wynajął w Craiovej pokój także dla mojej matki. W styczniu 1944 roku wysłałem tam trochę najpotrzebniejszych rzeczy. Terminy wyjazdu planowano w zależności od sytuacji na frontach; na razie było spokojnie, w lutym wyjechały kobiety, mężczyźni jeszcze pozostali.

Wyjeżdżający starali się zgromadzić jak najwięcej pieniędzy, sprzedawano resztki zbiorów z 1943 roku, żywy inwentarz, właściciele lasów drewno. I ja przyjechawszy z Piatra Neamt sprzedałem trochę zboża i kilka świń. Matka wyjechała do Craiovej w połowie lutego.

Po krótkim „lewym” urlopie wróciłem do Botoszan. Podczas mojej wyprawy do Piatra Neamt pułk wyszedł z koszar i kwaterował w kilku wioskach odległych o około 40 kilometrów od miasta. Ja na razie kręciłem się w koszarach bez przydziału. Przed rokiem przeniesiono mnie do rezerwy, przysługiwał mi więc już „kazionny” mundur. W magazynie brak było sort mundurowych na mój wzrost,

przychodziłem więc do koszar w cywilu i odsiadywałem swoje godziny w ambulansie pułkowym. Obijałem się beczynnianie prawie do połowy marca, kiedy odkomenderowano mnie do ambulansu dywizyjnego, który wyszedł z pułkiem w lutym.

Zameldowałem się wciąż jeszcze w cywilu; ambulans nie miał jeszcze szefa i nie przyjmował koni z jednostek. Starłem się nie pchać szarżom w oczy, przedstawiałem głównie z jednorocznikami dekującymi się w kancelariach, którzy nie brali udziału w ćwiczeniach. Powiało grozą na dekowników, kiedy któregoś dnia nadszedł rozkaz, że wszyscy kanceliści i podoficerowie różnych służb mają dwa razy w tygodniu brać udział w ćwiczeniach.

Na pierwszą zbiórkę przyszli wszyscy biurowi maruderzy: w cywilu nauczyciele, adwokaci, urzędnicy. Widok był imponujący: starsi, brzuchaci, szczupli, zgarbieni i wśród tej zbieraniny ja w cywilu. Nadszedł kapitan, który miał zająć się tą grupą bohaterów. Gdy ujrzał mnie w cywilu, przetaił oczy i rozpętała się burza. Wrzasnął: „wystąp i melduj, dlaczego jesteś w cywilu!”. Odpowiedziałem, że od dnia przybycia do pułku starałem się zdobyć mundur, lecz bez skutku, gdyż w magazynie są tylko małe rozmiary. Nowy wrzask: „wracaj do koszar i jutro zamelduj się w mundurze!”. Poprosiłem, jak to obowiązywało, abym mógł jeszcze coś zameldować. Powtórzyłem, że w magazynie nie znajdę munduru, gdybym jednak dostał kilka dni urlopu, to postarałbym się o mundur we własnym zakresie. O dziwo kapitan zgodził się i dostałem przepustkę na pięć dni.

Znajomi w Czerniowcach, którzy jeszcze nie wyjechali, siedzieli na spakowanych walizkach. Pojechałem do domu, aby sprzedać co się jeszcze da i zebrać gotówkę. Sprzedałem około czterech ton pszenicy i żyta, a mogłem pozbyć się jeszcze około trzech ton kukurydzy, lecz nie przyjąłem oferowanej ceny, nieco niższej od rynkowej. W rezultacie, nie chcąc ze względów ambicjonalnych zgodzić się na niewielką stratę, utraciłem kilkadziesiąt tysięcy lei. Ano, nie był to pierwszy raz i nie ostatni, lata 1940 i 1941 nauczyły mnie tracić.

Byłem przekonany, zresztą nie ja jeden, że sowieci wkroczą na nasze tereny lada dzień. Zdawałem sobie sprawę, że nie ja będę zbierał plony w 1944 roku, mimo to z człowiekiem pomagającym w gospodarstwie omówiłem plan wiosennych prac i zasiewów. Tak zresztą robili wszyscy sąsiedzi, którzy już wyjechali lub przygotowywali się do wyjazdu.

Po omówieniu planów „pisanych kijem na wodzie”, pomocnik poprosił mnie o radę, co ma zrobić przed wkroczeniem Sowietów, czy pozostać i tylko zmienić miejsce zamieszkania, czy też uciec w głąb Rumunii. Wiedziałem, że ma on szczególne powody do obawy przed Sowietami, gdyż chroniąc się przed branką do wojska na wiosnę 1941 roku zabił sowieckiego żołnierza. Odpowiedziałem, że powinien co najmniej wyjechać z rodzinnej wsi, jednak moim zdaniem najbardziej byłby wskazany wyjazd w głąb Rumunii. Powiedziałem mu: „staraj się sprzedać jeszcze co tylko zdołasz. Masz na gospodarstwie dwie pary koni, dobre wozy, zboże w magazynie; zabierz żonę i swoje rzeczy domowe, ładuj ile się zmieści zboża i jedź do Craiovej, gdzie mieszka matka. Na pewno dasz sobie tam radę”.

Pobyty w domu dobiegał końca, przed wyjazdem poszedłem na cmentarz, gdzie leżał ojciec zastrzelony w 1914 roku, przez rosyjskiego żołnierza. Pojechałem do Czerniowiec. Przyszło mi na myśl, że może udałoby się przedłużyć urlop, wysłałem więc do jednostki telegram z opłaconą odpowiedzią, prosząc o przedłużenie urlopu o trzy dni. Nie otrzymawszy odpowiedzi wróciłem w terminie. Przyszedłem do kancelarii o godzinie 7:00 rano i znajomy pisarz powiedział, że właśnie miał wysłać telegram ze zgodą na przedłużenie urlopu. Porwałem odpis telegramu i wróciłem do Czerniowiec, skąd pojechałem jeszcze na jeden dzień do domu. Porozmawiałem z pomocnikiem o najbliższej przyszłości, powtórzyłem wcześniejsze rady, zostawiłem mu część pieniędzy za sprzedane przez niego dwie krowy i odjechałem. Był to mój ostatni pobyt w domu, po dwóch tygodniach wkroczyli sowieci.

Sprawozdanie Zarządu Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego z działalności w 2024 roku

Zarząd Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego w 2024 roku konsekwentnie realizował podstawowy cel statutowy, jakim jest prowadzenie działalności społeczno-kulturalnej, służącej upowszechnianiu wiedzy o kulturze, historii i problemach społecznych Ormian w Polsce. W mijającym roku ukazały się trzy publikacje Towarzystwa. Wydano kolejny tom serii przekładów literatury ormiańskiej na język polski – zbiór opowiadań Wahana Totowenca *Życie przy starodawnym rzymskim trakcie i inne opowiadania* (tłum. z rosyjskiego dr Stanisław Ułaszek, redakcja armenistyczna prof. Andrzej Pisowicz, wydawnictwo Księgarnia Akademicka). Promocja książki odbyła się 25 maja 2025 roku w siedzibie Towarzystwa. Ponadto opublikowane zostały dwa podwójne numery „Biuletynu Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego” (116/117 oraz 118/119), w których znalazły się wspomnienia osób związanych ze środowiskiem ormiańskim, w tym teksty poświęcone ks. Tadeuszowi Isakowiczowi-Zaleskiemu oraz biogram Kamili Łukasiewicz. Zaprezentowano również dzienniki artysty malarza i poety Tadeusza Łukasiewicza „Tigrana” oraz szereg opracowań naukowych i popularnonaukowych dotyczących: obecności Ormian w literaturze polskiej, życia Ormian w Stanisławowie (na podstawie akt sądowych), analizy konfliktu o Górski Karabach oraz wywiad z prof. Andrzejem A. Ziębą poświęcony badaniom nad historią Ormian w Polsce.

Towarzystwo zorganizowało także szereg wydarzeń popularyzujących wiedzę i sprzyjających integracji. 2 czerwca 2024 roku w Kolegium Kołłątaja Uniwersytetu Jagiellońskiego odbył się wykład ks. Józefa Naumowicza (UKSW w Warszawie) zatytułowany *Biblijny raj na terenie Armenii? Tradycja armeńska i łacińska* zorganizowany wspólnie z Fundacją na rzecz Wspierania Studiów Armenistycznych im. Mesropa Masztoca. Bezpośrednio przed spotkaniem, w siedzibie Towarzystwa, można było bezpłatnie otrzymać zarówno najnowsze wydawnictwa, jak i publikacje archiwalne. 20 grudnia 2024 roku miało

miejsce inauguracyjne spotkanie Ormiańskiego Klubu Książki – nowej inicjatywy mającej na celu popularyzację literatury ormiańskiej oraz budowanie przestrzeni do dyskusji i refleksji. Pierwsze spotkanie poświęcono powieści *Z nieba spadły trzy jabłka* autorstwa Narine Abgarjan, pisarki ormiańskiego pochodzenia o międzynarodowym uznaniu. Zainteresowanie uczestników pozwoliło zapowiedzieć kontynuację inicjatywy w formie comiesięcznych spotkań, poświęconych zarówno klasyce literatury ormiańskiej, jak i współczesnym publikacjom poruszającym kwestie społeczne, historyczne i tożsamościowe.

Po czteroletniej przerwie powrócono również do tradycyjnego noworocznego spotkania członków Towarzystwa, które odbyło się 8 lutego 2024 roku. Kilkakrotnie gromadzono się także na Mszach świętych ormiańskokatolickich odprawianych w kościele św. Mikołaja przez ks. prof. Józefa Naumowicza.

Władze Towarzystwa aktywnie uczestniczyły w wydarzeniach środowiskowych i podejmowały działania na rzecz współpracy z innymi instytucjami. 13 czerwca 2024 roku w Małopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Krakowie odbyło się spotkanie z Tomaszem Ocetkiewiczem, Pełnomocnikiem Wojewody Małopolskiego ds. Mniejszości Narodowych i Etnicznych, poświęcone wyzwaniom związanym z działalnością organizacji oraz problematyce zachowania tożsamości, języka i kultury. 6 lipca 2024 roku Małgorzata Malkiewicz odwiedziła klasztor Ojców Mechtarystów w Wiedniu i przekazała na ręce o. Simona, bibliotekarza, najnowsze publikacje Towarzystwa oraz inne wydawnictwa armenistyczne. Zarząd Towarzystwa nawiązał również współpracę z Muzeum – Dwory Karwacjanów i Gładyszów w Gorlicach. Zbiory biblioteczne wzbogacono o kilkanaście nowych pozycji.

Zarząd Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego

Publikacje książkowe Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego (1994–2025)

1. Anna Danilewicz, *Ormianie z prawego brzegu Czeremoszu*, Kraków 1994
2. Jacek Chrząszczewski, *Ormiańskie świątynie na Podolu*, Kraków 1998
3. Edward Tryjarski, *Ormianie w Warszawie. Materiały do dziejów*, Kraków 2001
4. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, *Słownik biograficzny duchownych ormiańskich w Polsce*, Kraków 2001
5. *Pomniki minionej chwały. Ormiański Lwów w opisie Krzysztofa Stopki i w fotografii Andrzeja Płachetki*, Kraków 2002
6. Anna Danilewicz, *Z rumuńskiej Bukowiny na Dolny Śląsk. Krótka opowieść z długiego życia*, Kraków 2004
7. Malachiasz Ormanian, *Kościół ormiański. Historia, doktryna, zarząd, reguły kanoniczne, liturgia, literatura, stan współczesny*, z języka francuskiego przełożył i komentarzem opatrzył K. Stopka, Kraków 2004
8. Jacek Chrząszczewski, *Ormianie polscy i ich chaczkar w Krakowie*, Kraków 2007 (tekst w językach: polskim, angielskim, francuskim, niemieckim, rosyjskim, ormiańskim)
9. Erna Kierkorowicz, *Polscy potomkowie rodzin ormiańskich*, Kraków 2009
10. *Zapisy sądu duchownego Ormian miasta Lwowa za lata 1625–1630 w języku ormiańsko-kipczackim*, oprac. E. Tryjarski, Kraków 2010
11. Grzegorz Pełczyński, *Restauracja „Kresowa”*, Kraków 2011
12. Andrzej Bohosiewicz, *Ormiańska rodzina Bohosiewiczów*, Kraków 2011
13. Renata Król-Mazur, *Działalność polityczna arcybiskupa Józefa Teofila Teodorowicza w latach 1888–1923*, Kraków 2013

14. Chaczatur Abowian, *Rany Armenii (Płacz patrioty). Opowieść historyczna*, tłumaczenie z języka rosyjskiego: S. Ułaszek, polska redakcja armenistyczna A. Pisowicz, Kraków 2018
15. Hagop Baronian, *Wielce szanowni wydrwigrosze oraz inne utwory*, tłumaczenie z języka rosyjskiego S. Ułaszek, polska redakcja armenistyczna A. Pisowicz, Kraków 2022
16. Muracan (Grigor Ter-Howannisjan), *Geworg Marzpetuni. Powieść historyczna*, tłumaczenie z języka rosyjskiego S. Ułaszek, polska redakcja armenistyczna A. Pisowicz, Kraków 2023
17. Wahan Totowenc, *Życie przy starodawnym rzymskim trakcie i inne opowiadania*, tłumaczenie z języka rosyjskiego S. Ułaszek, polska redakcja armenistyczna A. Pisowicz, Kraków 2024
18. Howannes Tumanian, *Utwory wybrane*, tłumaczenie S. Ułaszek, J. Szokalski, polska redakcja armenistyczna A. Pisowicz, Kraków 2025

SPIS TREŚCI:

- 3 Wstęp
- 4 Tomasz Krzyżowski - Uroczystości 35-lecia Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego w Krakowie
- 21 Działalność społeczno-kulturalna środowiska ormiańskiego w Krakowie
Wywiad z Adamem Terleckim
- 33 Kamil Gleń - Profesor Andrzej Pisowicz i jego droga naukowa
- 42 Sandra Bartkowiak, Mateusz Skrzypczak - Obchody Dnia Pamięci
o Ludobójstwie Ormian - Erywań 2025
- 51 Antoni Amirowicz - Marsz w Krakowie w 110. rocznicę
ludobójstwa Ormian
- 59 ks. Kazimierz Romaszkan - Mój udział w pracy konspiracyjnej
w latach 1941-1945
- 63 Michał Bohosiewicz - „Moja” druga wojna światowa 1938-1944 (część 1)
- 122 Sprawozdanie Zarządu Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego
z działalności w 2024 roku
- 124 Publikacje książkowe Ormiańskiego Towarzystwa Kulturalnego (1994-2025)